

09-10/2021 > 87

FRESHMAG.PL

- SEJF JEST ZA OBRAZEM -

GALERIA NA DZIEDZIŃCU
od 1 września 2021

- N. linki - STARY
BROWAR



A hand is shown reaching into a wooden crate filled with fresh produce. The crate contains several large, ripe red tomatoes, a pomegranate, and some smaller fruits. Below the crate, two lemons are sliced in half, showing their juicy interiors. The background is filled with various green leafy vegetables and herbs, creating a vibrant and fresh atmosphere.

o^vo^vo

Świeże warzywa i owoce od lokalnych dostawców pod Twoje drzwi

www.ovocovo.com.pl



Intro

Redaktor naczelny: Dawid Balcerek

Często słyszymy, że Poznań to mały Berlin. Jedni przytaczają, inni patrzą z politowaniem, jeszcze inni – jak kursująca między Berlinem a Poznaniem Vonda7, nasza rozmówczyni – uśmiechają się, słysząc, gdy kolejne miasto na świecie porównuje się do stolicy Niemiec. Wiele miast chciałoby dorównać Berlinowi pod wieloma względami, ale nie mają do tego podstaw – w tym również nasz Poznań. I nie chodzi o knajpy czy muzykę – jest jeszcze czynnik ludzki i kwestie społeczne. Na pewno jednak gonimy Berlin pod względem ilości ścieżek rowerowych oraz oddolnych działań, związanych z klubową kulturą czy gastronomią. Na kreatywność nie możemy narzekać. Właśnie pewien człowiek z ulicy, ze świata graffiti, pokazał, że tak jak w Berlinie, tak i u nas, artyści tacy, jak on, mogą być brani na poważnie. Chodzi o Noriakię, autora naszej okładki, nawiązującej do wystawy „Sejf jest za obrazem”, która kilka dni temu miała swój wernisaż w Starym Browarze. W numerze znajdziecie także rozmowę z artystką. Można Noriakię lubić lub nie. Nie każdemu podoba się to co robi w przestrzeni naszego miasta, ale nie sposób już zaprzeczyć, że stał się symbolem Poznania, a teraz wprowadził streetart na salony. Wernisaż i wystawa prac w Galerii na Dziedzińcu Starego Browaru to nie są przelewki – swoje prace prezentowali tam. m.in. Ryszard Kaja, Daniel Lismore czy Björk. Można powiedzieć, że Noriaki nas uratował. Dzięki temu, że przetarł szlaki, jesteśmy bliżej Zachodu i tego Berlina, do którego tak wzdychamy.

Redakcja Freshmaga nie ponosi odpowiedzialności za zmiany terminów imprez oraz za treść reklam.



REDAKTOR NACZELNY:

Dawid Balcerek
dawid@freshmag.pl

**ZASTĘPCA REDAKTORA
NACZELNEGO:**

Michał Krupski
michal@freshmag.pl

WYDAWCA:

CRAFTBOX
ul. Bydgoska 2/3E
61-127 Poznań

SKŁAD:

Paweł Uniejewski
info@pixelnoiz.com

REKLAMA:

Michał Krupski
michal@freshmag.pl
695 823 184

WSPÓŁPRACA:

Natalia Bednarz
Łukasz Kowalka
Viola Łechtańska-Błaszczak
Joanna Gruszczyńska
Sylvia Klaczyńska
Malwina Cyprowski
Hubert Grupa
Magda Bałkowska
Magda Zajac

NAKŁAD:

4000 sztuk

OKŁADKA:

Noriaki

freshmag.pl

4

Druga strona Noriakiego

„Sejf jest za obrazem”, street art wchodzi na salony

16

Nowe schronisko

Nowa szansa dla poznańskich zwierząt

28

**Miejsca niczyje dziś,
miejsca wspólne jutro**

Dlaczego miasto powinno (od) dać przestrzeń
niezależnej kulturze

8

Niech żyją fyrtle!

Poznań oczami poznańskich artystów
z kolektywu Ilu Nas Jest

20

Rozmowa z Marcinem Myszką

„Nie ma w Poznaniu rejonu,
w którym nie doszłoby do jakiegoś morderstwa”

35

**„Złota polska jesień,
milsza mi niż wiosna”**

Przygotowania do następnego sezonu rowerowego

42

Między nami dziewczynami

Wywiad z zespołem Shyness!

38

Drużyna Wiary Lecha

10 wspólnych lat na piłkarskim boisku
i kibicowskim szlaku

46

**Wszystko w równowadze
z samą sobą**

Vonda7 o swoim debiucie muzycznym
w czasach pandemii

Druga strona Noriakiiego

„Sejf jest za obrazem”

Wystawa w Starym Browarze

▼
Rozmawiała: Magda Bałkowska/Milk & Sun

Foto: Maja Musznicka/Milk & Sun





Jego Watcher, nazywany również Panem Peryskopem, stał się symbolem Poznania. Dziś, coraz częściej zamienia miejskie mury na pędzel, farby i płótno. Od 1 września w Galerii na Dziedzińcu Starego Browaru będzie można podziwiać zbiór ponad stu jego prac. Projekt jest częścią obchodów 18. urodzin tego wyjątkowego centrum handlowego.

Z Noriakim, tajemniczym streetartowcem i malarzem, spotykamy się w jego pracowni i rozmawiamy o wystawie „Sejf jest za obrazem”, ulubionych miastach i rysunku z dzieciństwa, który nadał bieg jego pasji.

Zacznijmy od małej gry. Proszę dokończ zdanie: Poznań to dla mnie...
Miasto. I dom.

Nie bez powodu pytam o Poznań, bo tu, w jego centrum, a dokładniej w Galerii na Dziedzińcu Starego Browaru, już od 1 września będzie można oglądać wystawę Twoich prac. To będą trzy piętra wypełnione Twoimi obrazami, a każde będzie różniło się od kolejnego idiomem, wokół którego zgromadzone zostaną Twoje prace.

Wykorzystałem przestrzeń Galerii na Dziedzińcu i jej podział na piętra, aby ubrać moją twórczość w klamry i pokazać ją pod różnymi hasłami, tak aby nabrało to ładnego kształtu. Na wystawie pokażę ponad 100 prac. Cała wystawa zaczynać się będzie od rysunku, który namalowałem mając kilka lat. Na jego bazie powstała cała seria obrazów, które zgromadziłem pod hasłem „bunt”. Chcę tu pokazać ten gest, tę moją kreskę, którą miałem w sobie już jako małe dziecko. W zasadzie tylko się temu poddałem, szlifując całe życie to, co już w sobie miałem i z czym się urodziłem.

Jaka jest historia obrazka z dzieciństwa? Został odnaleziony przypadkowo po latach?

Nie, obrazek wisiał na ścianie i towarzyszył mi przez całe dzieciństwo. Jest to nasz skarb rodzinny. A przedstawia moją mamę. Oczywiście prac z okresu dzieciństwa mam więcej, natomiast ten jest dla mnie rysunkiem trafionym.

Dlaczego?

Rysunek nazywa się „Piegi w oczach”. Chodzi o to, że jeszcze jako mały szkrab musiałem dodać coś od siebie na sam koniec. Na tym obrazku wstawiłem dwie kropki w oczach. Do dzisiaj tak mam, że robię o jeden krok za dużo. Niby wiem, kiedy przestać, ale lubię dodać jeszcze trochę ornamentów na koniec. Nie zawsze mi to wychodzi na dobre, ale tak już mam od zawsze.



Co zobaczymy na kolejnych piętrach wystawy?

Na 2 piętrze prace skupiają się wokół idiomu „ruch”. Będą to prace figuratywne, tematy dość ekspresyjne, inspirowane moją twórczością jako streetartowca. Ostatnie piętro to miasto i reminiscencje z moich podróży. Od wielu lat temat miasta mnie pochłania i mocno go eksploatuję. Na ostatnie prace największy wpływ miała moja ukochana Barcelona oraz Lizbona. Są to miasta ciepłe, w których słońce świeci większą część roku. Pełne kolorów, ruchu, neonów, ulic i uliczek. Obrazy, które pokażę na wystawie, są hołdem i podziękowaniem dla tych miast. Są to rzeczy, które wyszły ze mnie po powrocie z tych miejskich podróży.

Czy podział Twojej twórczości na idiomy: bunt, ruch, miasto, jest odzwierciedleniem pewnych etapów w Twoim życiu?

Na wystawie chciałem pokazać główne hasła, które stworzyły mnie jako artystę i jako malarza. Stąd zaczynam od dzieciństwa i buntu, którego wyrazem było graffiti i spędzanie jako dzieciak całych dni na malowaniu. Później ten ruch – jestem dość żywotną osobą, latam z miejsca na miejsce. No i miasto, podróże. Nie wyobrażam sobie siedzieć w Poznaniu i stąd nie wyjeżdżać. Po prostu bym usechł.

Buduję ten styl od lat i zależy mi na tym, aby również moje malarstwo było w stylu graffiti, który jest mi bardzo bliski

Jesteś i czujesz się malarzem. Jednak wiele osób kojarzy Cię wyłącznie jako streetartowca.

Dokładnie. Stąd cała idea wystawy „Sejf jest za obrazem” w Starym Browarze. Pomysł był taki, aby pokazać mój największy klejnot, jakim jest malarstwo. Chcę pokazać drugą stronę obrazu, nie tylko Pana Peryskopa, z którym jestem kojarzony. Chcę, aby widzowie zobaczyli, że się tym wszystkim bawię i że jest to dla mnie wartościowa rzecz w życiu.

Mianownik streetartowiec zaczął Cię w pewien sposób uciskać i Tobie przeskadzać?

Nie, to nie jest tak, że mnie to uciska. Ale wystawa w Galerii na Dziedzińcu Starego Browaru to dobry moment, aby pokazać, że mam coś więcej do zaoferowania, niż jednego pamperka, Pana Peryskopa. To jest dobry moment, aby pokazać ostatnie 1,5 roku mojej pracy i to w przestrzeni, która mnie bardzo interesuje i bardzo mi się podoba.



Przechodzisz z ulicznych murów na ściany galeryjne. Jaki jest związek między Twoim malarstwem a streetartem?

Będę starał się to pokazać na wystawie. Wszystkie moje gesty malarckie, cała parabola mojej postaci – jedno wynika z drugiego. Pan Pe-ryskop siedzi z tyłu obrazu, ale na froncie są zupełnie inne rzeczy, na-wiązujące do niego i powiązane z nim. Jednak cały czas to jest obraz i to składa się na moją wizję. Jedno przenika się z drugim. Odwiedzający wystawę zobaczą, że już rysunki z dzieciństwa nawiązują do Watchera i jako dziecko miałem już to w sobie. I latami, latami to ze mnie wpły-wało i nadal wpływa.

Czy malując na płótnie, pozostajesz wierny stylowi, który znamy z ulic?

Buduję ten styl od lat i zależy mi na tym, aby również moje malar-stwo było w stylu graffiti, który jest mi bardzo bliski. W każdym obrazie staram się używać spray'u. Jest to dla mnie narzędzie równie ważne, jak tubka z farbą i pędzel.

Na wystawie zobaczymy Twoje prace pełne różnych emocji.

Tak, są tam moje emocje, jest tam moje życie. Nigdy nie zastanawiam nad tym, co maluję, po prostu siadam i to robię. To wychodzi spod mo-jej świadomości albo raczej nieświadomości. Więc jest w tym wszystkim dużo ekspresji, tak jak w moim życiu. I to też mi daje wolność. Celem jest droga, poszukiwanie, samo malowanie. Efekt końcowy jest ważny, ale najcenniejsze jest poszukiwanie pewnych wątków, technik, motywów, gestów i tego wszystkiego, co mnie tak kręci w malarstwie.

Z jakimi emocjami chcesz zostawić nas, widzów?

Chciałbym, aby widz wyszedł z tej wystawy zmęczony. Aby natłok wszystkiego trafił mu do głowy, do oczu i aby miał przekrój mnie jako osoby i jako malarza.

I pasjonata! Widać to szczególnie w Twojej pracowni – pasję, która od-cisnięta jest na każdym jej centymetrze.

To zawsze był mój problem, że wszystkie książki miałem popisane, wyryte ławki w szkole. Od dziecka pisałem po wszystkim – po ścianach, po ciuchach. Pasje do malarstwa musiałem odcisnąć niemal wszędzie. Za-wsze byłem za to besztany, a dzisiaj są to aktywności, które siedzą głębo-ko we mnie i w mojej naturze. Malarstwo jest czymś, bez czego nie mogę żyć. Jak tylko mam wolną chwilę, to zamiast usiąść przed Netflixem, idę do pracowni i maluję. Gdybym robił coś innego w życiu, to i tak musiał-bym malować, bo tylko tak potrafię dać upust swoim emocjom. Nie po-trafię tego wybiegać czy z kimś o tym porozmawiać. Moim sposobem jest malowanie na płótnie.



„Sejf jest za obrazem”. Noriaki w Starym Browarze Wystawa w Galerii na Dziedzińcu

Wernisaż: 1 września 2021 r.

Wystawa czynna do 31 stycznia

Bilety: 10 zł



Niech żyją fyrtele!

Poznań oczami kolektywu
ILU NAS JEST



Tekst: Joanna Gruszczyńska

Każdy fyrtel doczekał się nowej identyfikacji wizualnej, za którą odpowiedzialni byli ilustratorzy i ilustratorki z kolektywu ILU NAS JEST. Efekty ich pracy mogliśmy oglądać w te wakacje na wędrującej po mieście wystawie, ale to, co przygotowali, nie skończyło się tej ekspozycji. Nie było też jedyną częścią projektu poświęconego poznańskim dzielnicom.



Poznaj (nie tylko) swój fyrtel

Nie możemy zobaczyć już wystawy „Niech żyją fyrtle!” ani na Wolnym Dziedzińcu UMP, ani w Starym Browarze, ale nic straconego – wystarczy wejść na stronę fyrtle.pl, żeby przekonać się, że Poznań, w którym prawdopodobnie mieszkamy dobrych już parę lat, wciąż jest miastem, w którym możemy poczuć się jak turyści. Ale nie tylko. Miastu Poznań, które zainicjowało projekt poświęcony poznańskim dzielnicom, zależało też na integracji społeczności poprzez rozbudzenie przywiązania do własnego fyrtla. Mimo że cała akcja jest bardziej adresowana do lokal-

sów, nikt nie powiedział, że nie przyciągnie poszukiwaczy alternatywnego zwiedzania.

W projekt zaangażowano kilkadziesiąt osób. Przyczyniły się one do powstania wystawy, książki i – przede wszystkim – nowej identyfikacji wizualnej każdego z czterdziestu dwóch fyrtli. Od reportażowych zdjęć była ekipa ze studia Mishka, natomiast Towarzystwo Krajoznawcze „Krajobraz”, współpracując z prawie trzydziestoma autorkami i autorami, zajęło się redakcją ponad dwustustronicowej publikacji pełniącej funkcję przewodnika po poznańskich dzielnicach (książka nie jest już niestety dostępna). Z kolei kolektyw ilustratorski ILU NAS JEST w skła-

Wilda jest znana z kilku rzeczy,
(...), że na Wildzie mieszka szatan
oraz że wszyscy mają psy

(...)

dzie: Pola Augustynowicz, Joa Bart, ilustraDORA, Łukasz Drzycimski, Grzegoż Myćka, Olek Pujso i Ola Szmida, stworzył nowe logo Poznania, typografię i plakaty, które na razie można znaleźć jedynie na stronie fyrtle.pl, gdzie są do ściągnięcia w różnych wersjach i formatach. Ci, którzy chcieliby sprawić sobie albo komuś prezent w postaci plakatu z ulubioną dzielnicą, a z tego, co słycać na mieście, zainteresowanych tematem jest wielu, na razie muszą obejść się smakiem, bo wszystkie egzemplarze, jak i pocztówki zniknęły w pierwszych dniach wystaw. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że Miasto Poznań planuje nowy rzut.





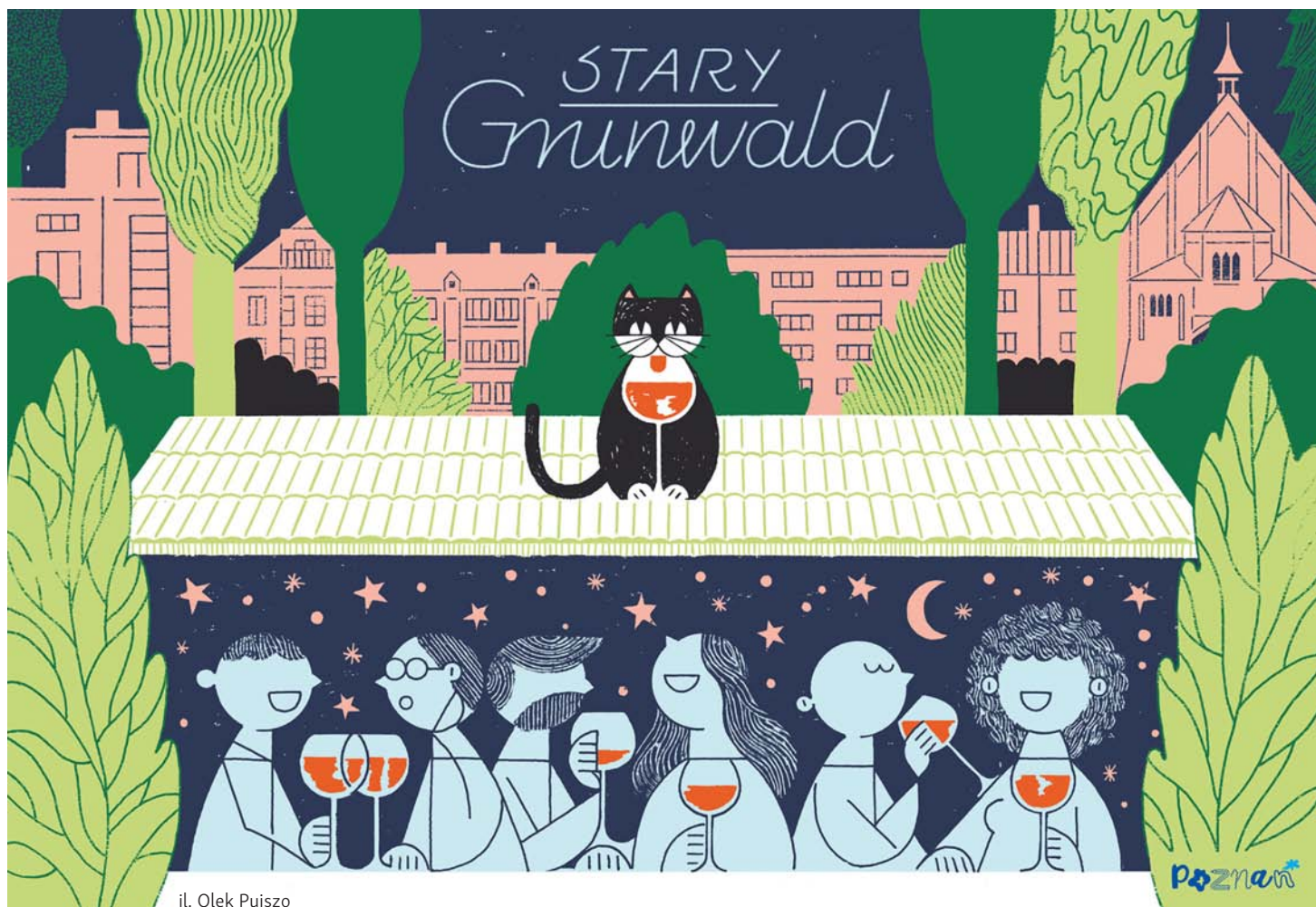
Co kojarzy Ci się z Twoją dzielnicą?

Jak uchwycić wszystko to, za co kochamy swoją dzielnicę, albo każdą rzecz, która nam i całej reszcie kojarzy się z danym firtlem? Co człowiek, to inne skojarzenie czy wspomnienie. Zadania nie do wykonania podjął się złożony z przyjaciół kolektyw ILU NAS JEST. Większość tej ekipy poznała się w Internecie. – Śledziliśmy facebookową grupę zrzeszającą polskie ilustratorki i ilustratorów. To stamtąd wziął się pomysł na wspólne śniadanie osób mieszkających w Poznaniu. Po kilku kolejnych spotka-

Ilustracja zawiera
2 inne języckie murale,
więc będzie to prawdziwa
muralcepcja.
Co na to DiCaprio?

Nigdy wcześniej nie słyszałem o związanych z Ławicą żandarach. To obyczaj wielkanocny, który polega na tym, że korowód przebierańców wyrusza w pochód w lany poniedziałek.





il. Olek Pujsho

niach ostatecznie została nas siódemka. Można powiedzieć, że Pola jest naszą przeską (śmiech), bo to ona zainicjowała te spotkania – wspomina Joanna Bartosik, członkini kolektywu. Pierwszą wspólną realizacją ILU NAS JEST była wystawa „Śmieję się, aż zasnę”, z którą odwiedzili oni pięć miast w Polsce, aby opowiedzieć o swojej pracy i życiu codziennym. Jak sami mówią, do tematu podeszli: *wesoło, ironicznie, nad wyraz prawdziwie – czyli dokładnie tak, jak na ich ilustratorskich spotkaniach*. Jeśli „Śmieję się, aż zasnę” prezentowało całkowicie osobistą i „domową” perspektywę artystów i artystek, to praca nad „Fyrtłami” zmusiła ich do wyjścia w teren (Dorota Piechocińska wsiadła na rower i objechała każ-

dą dzielnicę, którą miała zilustrować) i wymagała od nich przybrania wielu punktów widzenia. Kolektyw pod uwagę wziął też wyniki ankiety typu „co jest charakterystyczne dla danej dzielnicy?”, przeprowadzonej na Facebooku, i sugestie rad osiedli. Czy było coś zaskakującego w tych wszystkich informacjach, które udało im się zebrać? – Nigdy wcześniej nie słyszałem o związanych z Ławicą żandarach. To obyczaj wielkanocny, który polega na tym, że korowód przebierańców wyrusza w pochód w lany poniedziałek. Początki tej tradycji sięgają lat 20. XX w., ale – co niesamowite – przetrwała ona do dzisiaj – opowiada Grzegorz Myćka, który stworzył grafikę dla Ławicy, wykorzystując motyw wielkanocne-

go korowodu z księdzem, babą, dziadem, kominiarzem i niedźwiedziem. Myćka odpowiadał też za ilustrację Łazarza. – Każdy z nas chciał zająć się miejscem, w którym mieszka. Troje z nas rezyduje na Łazarzu, więc o ten temat była największa walka. (śmiejch) Wydaje mi się nawet, że rzucaliśmy monetą. Tym razem szczęście było po stronie Grzegorza – o podziale prac opowiada Pola Augustynowicz. I dodaje: - Każdy i każda z nas ma swój wyrazisty styl, dlatego kolejnym wyzwaniem było ujednoczenie kolorów dla wszystkich prac.

Fyrtel na fyrtlu

Na samych projektach i wystawie się nie skończyło. „Fyrtle”, które wyszły z miasta, powróciły do niego. Efekt fyrtla w fyrtlu najwyraźniej obrazuje chyba przypadek „Jeźyc” Doroty Piechocińskiej. Rada Osiedla Jeźyce postanowiła wykorzystać jej projekt na mural, który ma być częścią nowego planu zagospodarowania placu przy ulicy Jeźyckiej 36. Teraz ma powstać tam park kieszonkowy z terenem rekreacyjnym, zielenią i malowidłem ilustrowanym przez DORY, czytamy w „Naszyc Jeźycach”. Jakby tego było mało, na grafice





(obok wydziaranego Mickiewicza, Słowackiego z latte, języka na deskorolce, napisu KWIATY 24H i wielu innych szczegółów) znajdują się murale z ulicy Poznańskiej i Strzałkowskiego. Nawiązanie do tego pierwszego rozbudziło wyobraźnię internautów i spotkało się z przeróżnymi interpretacjami. Psia kupa, kaszanka, wąż, ziemniak, dżdżownica, penis. W Inicjatywnej i Nieformalnej Grupie Języckiej na moment zawrzało. Sama ilustratorka DORA tak żartuje sobie o muralu na Facebooku: *Ilustracja zawiera 2 inne języckie murale, więc będzie to prawdziwa muralcepcja. Co na to DiCaprio?*

Na mieście będzie można niedługo zobaczyć też mobilne „Fyrtle”, bo ILU NAS JEST odpowiedzialny jest również za projekt materiałowych

toreb. Jednej z napisem „Na Łazarskim rejonie ~~nie~~ jest kolorowo!” już można wypatrywać, a kolejna jest już w planach. *Wilda jest znana z kilku rzeczy, (...), że na Wildzie mieszka szatan oraz że wszyscy mają psy (...). Gdy przygotowywałam tę ilustrację [Wildy – przyp.red.], nie była z nami jeszcze nasza psinka Hauka, dlatego nie ma jej na obrazku, ale na torbach wildeckich (które mają niebawem powstać!) już się pojawiła (...)* – pisze Ola Szmida. Projekt „Fyrtle” cały czas się rozwija i możliwe, że w najbliższym czasie jeszcze o nim usłyszymy!

Ilustracje można ściągać ze strony fyrtle.pl



NOWE SCHRONISKO, NOWA SZANSA DLA POZNAŃSKICH ZWIERZĄT

▼
Tekst: Natalia Bednarz

Foto: Błażej Kujawa

Przeprowadzka miała miejsce pod koniec lipca i trwała niemal tydzień. Ponad 300 psów i kotów na zawsze opuściło przestarzały budynek Schroniska dla Zwierząt w Poznaniu przy ulicy Bukowskiej, by rozpocząć nowy etap w swoim życiu pod adresem Kobylepole 51. *Poznań w końcu ma schronisko dla zwierząt na miarę XXI wieku, spełniające nowoczesne standardy* – powiedział prezydent miasta, Jacek Jaśkowiak. Z tego, co nam wiadomo, zwierzaki polubiły nowe lokum i szybko się adaptują... lecz my szczerze życzymy im, by było to lokum bardzo tymczasowe.

Nowy przestronny budynek schroniska wybudowała firma Pekabex. Są w nich aż dwa pawilony dla psów (zdrowych i gotowych do adopcji, oraz tych, które przechodzą kwarantannę), osiemnaście słonecznych pomieszczeń dla kotów, wybiegi, pomieszczenie treningowe, a nawet basen. W przyszłości niektóre części obiektu być może będą dostępne także dla zwierząt i opiekunów spoza schroniska.

Ściany budynków oraz nową identyfikację wizualną schroniska przygotował znany poznański artysta, Noriaki. – Gdy otrzymałem propozycję ozdobienia nowego schroniska, nie wahałem się ani chwili. Nowa rzecz, nowe wyznaczenie, nowy motyw – takich rzeczy nie odmawiam. Chciałem sprawić, by wizyty w schronisku, które jak wiadomo, nie należą do najprzyjemniejszych, były odro-

binę miłsze. Cała akcja z dwiema ścianami w środku trwała tydzień. Projekt nie był łatwy, bo wbrew pozorom, kotki i pieski trudno połączyć w jednej pracy, ale udało się. Mam nadzieję, że cieszące się mordki na wejściu i radosne kolorki wywołują uśmiech na twarzy – mówi nam artysta.

O szczegóły, a także wrażenia po ponad miesiącu funkcjonowania w nowym miejscu, zapytaliśmy Katarzynę Frąckowiak ze Schroniska dla Zwierząt w Poznaniu oraz wolontariusza Błażeja Kujawę, który w wolnych chwilach fotografuje zwierzaki pod szyldem Dzika Fota.





W nowym miejscu jesteście od 26 lipca. Jak wrażenia po pierwszym miesiącu funkcjonowania?

Katarzyna Frąckowiak: Jak najbardziej pozytywne, dużo emocji, zarówno dla naszych podopiecznych, jak i dla pracowników i wolontariuszy. Nowy teren jest o wiele większy, wszystkie nasze psy mają zapewniony dostęp do ciepłych i suchych pomieszczeń połączonych z wybiegami na świeżym powietrzu a dla kotów mamy 18 kociarni również z wybiegami na zewnątrz. Mamy również osobny szpital dla psów i kotów. Udało nam się podzielić na strefy pomieszczenia, w których są zdrowe zwierzęta, chore jak i te wymagające kwarantanny. Przenieśliśmy ponad 300 zwierząt, z pomocą wolontariuszy zajęło nam to około 5 dni. Zwierzęta przeszły ten proces dzielnie, lecz muszą przyzwyczać się do nowych warunków i otoczenia.

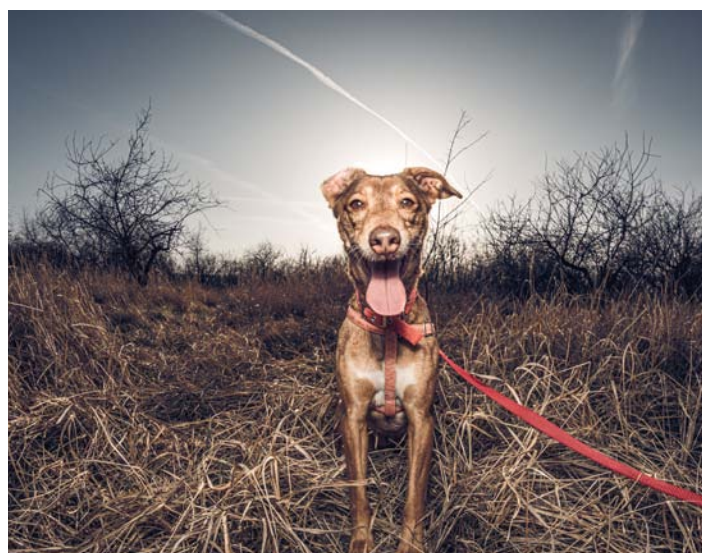
Błażej Kujawa: Sam teren schroniska jest większy niż starego, dlatego dopiero poznajemy przestrzenie, ścieżki wokół, żebyśmy wiedzieli, gdzie chodzić na spacer z psiakami. Dla samych wolontariuszy jest w końcu przestrzeń w postaci dużej szatni z prysznicami, dzięki czemu na pewno nasz komfort po wyjściu ze schroniska wzrósł.

A jak sprawdza się basen dla psów?

KF: Basen dla psów jest bardzo często wykorzystywany przez naszych podopiecznych. Mieszka u nas dużo aktywnych psów, którym staramy się zapewnić różne atrakcje i basen jest jedną z nich. Na wybiegach z czasem pojawią się tory przeszkód, gdzie psy będą mogły trenować.

Jak można Wam pomóc? Czego obecnie potrzebujecie najbardziej?

KF: Dzięki ogromnej przestrzeni w nowym schronisku, kilka pomieszczeń wyposażyliśmy w dodatkowe atrakcje wspomagające zwierzęta. Pojawiła się salka fitness oraz ciesząca się dużą popularnością salka do zajęć węchowych. Pracujemy również nad wyposażeniem mieszkania socjalizacyjno – treningowego. To tutaj zwierzęta będą miały okazję poznać odgłosy życia codziennego, których nie są w stanie poznać w schronisku. Nasze potrzeby publikowane są na naszej stronie internetowej w zakładce „pomoc rzeczowa”, jak również na bieżąco na naszym FB. W tej chwili najbardziej potrzebujemy: smaczków treningowych, koców, ręczników, pościeli, gryzaków typu żwacz, płuco itd., oraz karm weterynaryjnych hypo/gastro dla psów i kotów, drapaków kartonowych ma-





łych, termoforów (np. Trixie oraz wodne), specjalistycznych butelek do karmienia kociąt (np. Trixie).

Jakie macie plany na najbliższą przyszłość?

KF: Na początku chcielibyśmy się do końca odnaleźć w nowej rzeczywistości i pracować płynnie. Nasze procesy adopcyjne nie zmieniły się w nowym miejscu. Zainteresowanie adopcjami ciągle rośnie, co nas cieszy. Naszym zdaniem, stały się one bardziej przemyślane. Bardzo często adoptowane są koty i psy, które są u nas bardzo długo.

Jak wygląda obecnie proces adopcyjny?

KF: Osoby zainteresowane adopcją najpierw wypełniają ankietę przedadopcyjną (inna w przypadku kota, i psa), którą odsyłają na email: biuro@schronisko.com, dostarczają pocztą lub wypełniają na miejscu. Potem następuje kontakt z naszej strony i proces adopcyjny rusza. Na naszej stronie są umieszczeni podopieczni gotowi do adopcji, wraz ze zdjęciami i szczegółowym opisem. Na spacerach zapoznawczych przyszli właściciele zapoznają się z psami, poznają ich zachowania. Cechy psa, jego problemy, usposobienie są przekazywane zarówno przez naszych opiekunów, jak i wolontariuszy. W trakcie wspólnych spacerów, pies z potencjalnym nowym właścicielem poznają się wzajemnie, co ma pozytywny wpływ na otwartość i późniejsze relacje. Pamiętajmy, że zapoznania nie zobowiązują do adopcji (choć wszyscy liczymy na nią najbardziej!). W przypadku kotów, spotkanie odbywa się w dniu adopcji, jednak, aby ułatwić decyzję, elastycznie reagujemy na zapytania, wysyłamy filmiki i dodatkowe zdjęcia.

Schronisko poszukuje nowych wolontariuszy do pracy ze zwierzętami. Jaki powinien być idealny kandydat (-ka)?

BK: Jeszcze niedawno bym powiedział, że idealny kandydat to taki, który kocha zwierzęta. To jednak nie wystarczy. Moja odpowiedź dzisiaj: idealny kandydat to taki, który zna psi język, potrafi zrozumieć potrzeby psiaka i wie co zrobić by pies czuł się komfortowo.

Czy są zwierzaki, które wyjątkowo mocno potrzebują adopcji?

BK: Adopcji potrzebują wszystkie zwierzaki, najbardziej jednak żal jest psów, które są tutaj już długo, za długo – taki na przykład cudowny Żaba, który 8 lat czeka na dom, pies, który jest w poznańskim schronisku najdłużej. A to super pies jest, tylko nie miał szczęścia do ludzi. Albo Dżeki, który jest ideałem i również jeszcze nie trafił na swojego człowieka. Jest moja miłość – Sabinka, niesamowita dziewczyna. Kto jeszcze? Bezproblemowy, terierowaty Foksik. Jest też świetny Michu i wspaniały Pedro. Bardzo bym chciał, żeby one szybko znalazły domy!

Nowe schronisko zostało nominowane do konkursu TOP Inwestycje Komunalne 2021 organizowanego przez PortalSamorządowy.pl. Budowa schroniska dla zwierząt w Poznaniu została zakwalifikowana do II etapu konkursu i jest jedną z 20 inwestycji, które walczyć będą o jak najlepsze miejsce. Głosowanie jest proste i nie wymaga rejestracji – wystarczy wejść na stronę https://www.portalsamorzadowy.pl/.../nowe-schronisko-dla..., i kliknąć zielony przycisk „Popieram” przy wybranej nominacji. Można to zrobić do 12 września do godz. 9:00.



„Nie ma w Poznaniu rejonu, w którym nie doszłoby do jakiegoś morderstwa”

Rozmowa z Marcinem Myszka

Rozmawiała: Viola Łechtańska-Błaszczak

Foto: Klaudia Ekert Waraczewska

Czy wiedzieliście, że najpopularniejszy polski podcast o nazwie „Kryminatorium” powstaje w Poznaniu? Tworzy go Marcin Mysza, który do stolicy Wielkopolski przyjechał na studia dziennikarskie. Został, ponieważ odkrył, że Poznań to... kryminalna stolica Polski. Kim był Edmund Kolanowski – nekrofil z Poznania, Kazimierz Polus „Rzeźnik z Wildy” oraz czy takich jak oni jest wśród nas więcej?

„Słuchałem oczywiście także zagranicznych podcastów kryminalnych i dziwiłem się, dlaczego w Polsce nie ma czegoś tak popularnego za granicą. Zacząłem więc nagrywać „Kryminatorium”.

Jak dowiadujemy się m.in. z Twoich podcastów, Poznań kryje wiele kryminalnych sekretów, ale to nie dlatego przeprowadziłeś się akurat tutaj?

Studiowałem w Koszalinie kierunek, który mnie kompletnie nie zainteresował – transport ze specjalizacją logistyka. Obiecałem sobie, że jeśli podejmę inne studia i zrobię magisterkę, to z zakresu, który mnie mocno pochłonie. Przeglądając kierunki, zorientowałem się, że na dziennikarstwie jest dużo przedmiotów, które są zbieżne z moimi zainteresowaniami – pracownia telewizyjna, praca przed kamerą, z mikrofonem. Zastanawiałem się tylko, czy wybrać uczelnię w Toruniu, w Bydgoszczy, czy właśnie w Poznaniu. Zdecydowałem się na UAM, bo jest najbardziej prestiżowy ze wszystkich trzech. Poza tym, w samej stolicy Wielkopolski są większe możliwości. Nie pomyliłem się. Jak się później okazało, Poznań to kryminalna stolica Polski. Dużo się tu działo i jest wiele spraw, którymi mogę się zajmować będąc na miejscu, pomyślałem więc, że zostanie.

Czy w 2015 roku, kiedy powstawał Twój kanał na youtube „Niediegetyczne”, i później w 2018 roku, kiedy tworzyłeś „Kryminatorium”, czułeś, że Twoje treści staną się aż tak popularne? Czy chodziło jedynie o realizację zjawki?

Zająłem się tym hobbystycznie, chciałem poćwiczyć montaż filmowy. Te kilka lat temu w wakacje szukałem odskoczni, czegoś, co mnie zainteresuje. Trafiłem na program do montażu, kleiłem filmy z wyjazdów ze znajomymi, zacząłem z tego tworzyć krótkie historie. Później robiłem

filmy dotyczące zjawisk niewyjaśnionych – o UFO, o duchach. Z czasem przeszedłem na stronę kryminalną i uznałem, że jest to najciekawszy temat. Po kilku latach zmęczyło mnie robienie filmów. Cały czas towarzyszy mi myśl, by tworzyć projekty czy produkty, których wcześniej nikt nie robił, zajmować się tematami, których nikt wcześniej nie poruszał. Tak też było tym razem. Uznałem, że podcasty to przyszłość – coś, co w Polsce dopiero zacznie się rozwijać za kilka lat. Nie było wtedy w ogóle takich treści, a ja chciałem być pierwszy. I się udało. „Kryminatorium” było pierwszym podcastem kryminalnym na polskim Spotify. Teraz są ich dziesiątki.

Wielu z nas o podcastach dowiedziało się za sprawą „Kryminatorium” właśnie. Wiedziałeś, że to zagra?

Miałem przecucie. Zawsze lubiłem słuchać, może dlatego, że nie miałem rodzeństwa. Większość dzieciństwa spędzałem sam w pokoju i trochę mi brakowało jakiejś bratniej duszy, z którą mógłbym codziennie pogadać. Dlatego słuchałem audycji i bajek w formie audio. Do dziś mi towarzyszą podcasty i audiobooki. Słuchałem oczywiście także zagranicznych podcastów kryminalnych i dziwiłem się, dlaczego w Polsce nie ma czegoś tak popularnego za granicą. Zacząłem więc nagrywać „Kryminatorium”. Na początku mój podcast nie był zbyt popularny. Kiedy ogłosiłem, że zaczynam nagrywać, to odbiorcy nawet nie wiedzieli, czym jest podcast, i jak go słuchać. Trochę mnie zmartwiło, że nikt szczególnie się nie ucieszył, ale z miesiąca na miesiąc odbiorców przybywało.

Jak tworzyło się „Kryminatorium” na początku, kiedy swoją wiedzę czerpałeś z książek, artykułów, programów telewizyjnych, ogólnodostępnych akt spraw, a jak się tworzy dziś?

„Kryminatorium” funkcjonuje jako redakcja i ten fakt pomaga w dotarciu do niektórych źródeł czy akt, tworząc filmy staram się bazować na dokumentach. Nowych historii dostarczają też świadkowie. Obecnie mam ich tyle, że mogę wybierać, którymi będę się zajmować w danym tygodniu.

Twoje podcasty to opowiadania o zbrodniach, okraszone muzyką, efektami specjalnymi, głosem narratora czy postaci, nagrywane przez aktorów. Na którymś etapie słuchacze jednak uznali, że formuła stała się zbyt bogata, więc wycofałeś się z części tych elementów. Wsłuchałeś się w te opinie...

Długo i zawzięcie broniłem swojego pomysłu, pojawiło się jednak mnóstwo negatywnych opinii. Teraz, gdy ich posłuchałem i zmieniłem formułę, dostaję wiadomości, że... lepiej było kiedyś. Nie da się każ-

demu dogodzić. Starałem się to wypośrodkować – pojawiają się więc w moich podcastach dodatkowe głosy, efekty specjalne, muzyka, ale już w mniejszym stopniu niż kiedyś. Aktualnie mój stały zespół to dwóch lektorów, a na dodatkowe elementy składa się znana od początku muzyka i dodatkowe efekty. Na razie pojawia się mało negatywnych komentarzy, myślę więc, że udało mi się wypracować odpowiedni format. Dzięki głosowi aktorów podcasty są sensacyjne, dynamiczne, a przede wszystkim „Kryminatorium” jest oryginalne. Zawsze chciałem, żeby to, co tworzę, wyróżniało się. Chodzi o to, żeby osoba, która włączy i przesłucha historii przedstawionej przeze mnie, od razu zapamiętała mój styl. Oczywiście, nie musi się on wszystkim podobać, ale nikt mi nie powie, że kopiuję inny program.

CBS Reality w 2019 roku wyemitował program „DNA polskich zbrodni”, w którym występowałeś w roli prowadzącego obok pisarki Joanny Opiat-Bojarskiej. Aktualnie stacja zajmuje się tworzeniem programu pt. „Kryminalne śledztwa PRL-u”. Jaki jest Twój udział w tej produkcji?

„DNA polskich zbrodni” to była druga polska produkcja kanału CBS Reality, a „Kryminalne śledztwa PRL-u” – czwarta lub piąta. Cieszę się, że ta stacja wchodzi na nasz rynek z coraz większą odwagą i coraz ciekawszymi pomysłami. Należy podkreślić, że „Kryminalne śledztwa PRL-u” to jest najlepiej dopracowana produkcja. Jej klimat bardzo przypomina zagraniczne seriale dokumentalne, które znamy z Netflixa czy HBO. Nie ma tu ani lektora, ani prowadzącego, a cała narracja opowiadana jest słowami bohaterów. Ta seria składa się z pięciu odcinków. Konsultowałem się z twórcami tego programu od samego początku, mówiłem w jakich miejscach szukać informacji, podpowiadałem, które sprawy byłyby ciekawe. Dwie z omawianych to historie z Poznania. Pilotażowy odcinek dotyczył sprawy Edmunda Kolanowskiego, najgłośniejszej historii z naszego regionu, a w drugim poznańskim odcinku przedstawiono kulisy śledztwa w sprawie Kazimierza Polusa, historii mniej znanej, lecz równie ciekawej. Twórcy tej produkcji dotarli do bardzo wielu ciekawych świadków. Szczerze mogę powiedzieć, że jest to dobry program.

Czy „DNA polskich zbrodni” przeszło już do historii, czy może jest w planach dalszy ciąg?

Na razie nie wiem nic o kontynuacji. Były takie pomysły, ale po wybuchu pandemii upadły. Tendencja jest raczej taka, żeby tworzyć nowe formaty. Wiem, że teraz w produkcji jest drugi sezon „Kryminalnych akt inspektor Biskupskiej”, ale o „DNA polskich zbrodni” nic nie wiem, więc raczej wątpię, żeby był drugi sezon.



Czy Twoim celem jest ostrzeżenie ludzi przed niebezpiecznymi sytuacjami? Jak uchronić się przed zbrodnią?

Słuchanie podcastów kryminalnych zdecydowanie poszerza naszą świadomość, działa na wyobraźnię. Często dostaję wiadomości od osób, które sugerują, że na przykład widziały w tramwaju podejrzaną zachowującą się osobę, a w związku z faktem, że słuchają podcastu, zachowały większą ostrożność. Są też takie osoby, które nie wracają już samotnie w nocy do domu, tylko już zawsze ze znajomymi lub biorą taksówkę. Gdy słuchamy podcastów, wydaje nam się, że są to odległe historie, a jest przeciwnie. Ofiarami są ludzie tacy jak my, osoby, które na swoje nieszczęście akurat trafiły w ręce zbrodniarzy. Po takich wydarzeniach, w ciągu zaledwie jednej nocy, diametralnie zmienia się życie ich rodzin.

Z jednej strony podcasty uczą i otwierają oczy, z drugiej jednak mogą doprowadzić do obłądzenia...

Rzeczywiście dostaję także i tego typu wiadomości. Dotyczą one sytuacji, w których ktoś słucha podcastu idąc pozornie normalnie wyglądającą ulicą, a jego wyobraźnia zaczyna pracować. Nie ukrywam, że w mojej głowie dzieją się podobne rzeczy. Spacer zatłoczoną ulicą Półwiejską też czasem wywołuje u mnie nieracjonalne myśli.

Samopoczucia nie poprawia fakt, że po naszym mieście chodzi morderca, który niedawno zakończył odsiadkę wyroku pozbawienia 25 lat wolności za brutalne zabójstwo dziecka.

Ten mężczyzna rzeczywiście wyszedł z więzienia. Michał Larek, z którym współpracuję przy różnych projektach, jakiś czas temu rozmawiał z osobą z jego otoczenia i badał ten temat. Pamiętajmy jednak, że społeczeństwo nie jest od tego, by kogoś osądzać. To dlatego nie podajemy na naszych kanałach zbyt szczegółowych informacji, które mogłyby narazić takie osoby na ostracyzm czy nawet lincz. Teoretycznie, musimy wierzyć, że jeśli odbyły swoją karę, to zostały zresocjalizowane. Z jednej strony lepiej, żeby osoby z ich otoczenia wiedziały o ich wyroku i miały na nie oko, ale nie należy informować o tym fakcie wszystkich.

W Poznaniu podobnych spraw były dziesiątki.

Poruszając się po mieście, codziennie mijam miejsca, które są nazywane kryminalnymi historiami. Jeśli zagłębimy się w temat, to możemy stwierdzić, że w każdej dzielnicy i na każdej ulicy coś złego się kiedyś wydarzyło. W Poznaniu nie ma rejonu, w którym nie doszłoby do jakiegoś morderstwa.

Spróbujmy opisać poznańskich morderców. Czy to bestie, czy raczej dobrzy, uczynni i uśmiechnięci sąsiedzi?

Rządzi tym pewien schemat. Osoby, które pamiętają sprawców, mówią to samo – „Był to miły człowiek, może trochę dziwny, może mało mówny, ale poza tym nie spodziewałbym się, że mógłby zrobić komuś coś złego, nie mówiąc o dokonaniu zbrodni”.

A czy – Twoim zdaniem – Ewa Tylman przypadkowo wpadła do rzeki?

Trudno mi powiedzieć, bo sprawa jest nadal w toku. Wyrok z 2019 roku był dla Adama Z. niewinniający. Jest to jedna z najbardziej tajemniczych historii i po sprawie Iwony Wieczorek jedna z najgłośniejszych. Trochę żałuję, że nie było mnie w Poznaniu, gdy ta sytuacja miała miejsce. Z opowiadań znajomych wiem, że całe miasto tym żyło. To musiało być coś niezwykłego. Może nawet też zaangażowałbym się w poszukiwania. Byłem na kilku procesach w sprawie Ewy Tylman, gdzie mogłem zobaczyć, jak wygląda taka głośna rozprawa na żywo. Jestem ciekawy, jaki będzie finał tej historii.

Czy bywasz na tropie do rozwiązania jakiejś zagadki, czy też wolisz raczej przekazywać informacje dotyczące ciekawych, ale zamkniętych historii?



KRYMINATORIUM

Z jednej strony ciągnie mnie do tego, aby zagłębić się w niewyjaśnioną sprawę z końca lat 90-tych czy początku lat dwutysięcznych, byłaby wówczas nadzieja, że takie podcastowe śledztwo mogłoby przynieść jakiś rezultat. Uważam jednak, że to nie jest jeszcze ten czas, a ja nie mam jeszcze odpowiedniego doświadczenia. Póki co, bazuję na starych sprawach seryjnych morderców z czasu PRL-u, które są już zamknięte. Mam nadzieję, że gdy nabiorę odwagi, pewności siebie i zdobędę wiedzę od naocznych świadków, to będę próbować robić coś bardziej aktualnego. A może nawet uda się rozwiązać sprawę wspólnie ze słuchaczami?

Jeśli chodzi o tajemnicze wątki, to nawet w sprawie Edmunda Kolanowskiego też jest taki, który warto pociągnąć. Mimo że ciało jednej z jego ofiar nie zostało odnalezione, Kolanowski został skazany za jej zabójstwo. Edmund zdradził wszystkie szczegóły tej zbrodni, a sąd uznał jego wyjaśnienia za wiarygodne i przyjął je jako prawdziwe. Jak widać, nawet zamknięte i archiwalne sprawy owiane są pewną tajemnicą.

I tu jest świetny moment, by nawiązać do Twojej współpracy z Michałem Larkiem, mieszkańcem Poznania, współautorem książki „Martwe ciała” i autorem podcastu „Zabójcze opowieści”. Aktualnie skupiacie się na sprawie „zimnego chirurga”, czyli wspomnianego już wielokrotnie Edmunda Kolanowskiego. Powstanie z tego audioserial.

Audioserial to reportażowy audiobook, składający się z kilku odcinków, łącznie trwający kilka godzin. Przedstawiamy w nim szczegółowo kulisy sprawy. Głównym elementem naszej serii są relacje milicjantów, medyka sądowego, świadków, ekspertów, dwóch najsłynniejszych polskich profilerów, którzy analizują te sprawy pod kątem psychologicznym, wypowiada się też seksuolog – wszystko w kontekście sprawy dotyczącej Edmunda Kolanowskiego. W Polsce nie było jeszcze takiego projektu, który dotyczyłby seryjnego mordercy z Polski. Jest on więc nietypowy. W związku z faktem, że CBS Reality w podobnym czasie wypuszczało swój program i pilotażowy odcinek dotyczył Edmunda Kolanowskiego, to połączyliśmy siły z CBS Reality i stacja jest partnerem naszej serii.

Dlaczego Edmund? Twój słuchacz twierdzi, że Kolanowski to podobno największy freak wszechczasów w Polsce.

Owszem, to jest historia najgłośniejsza, ale naszym zdaniem, nie do końca opowiedziana. Michał spędził nad tematem dużo czasu, miał kontakt do wszystkich śledczych, którzy brali udział w sprawie. Ja też wcześniej badałem tę historię, czytałem akta. Opowiedzieliśmy więc ten temat na nowo, odświeżyliśmy go, przybliżyliśmy nowe wątki. Uważam, że to jest kwestia czasu, kiedy o Edmundzie Kolanowskim powstanie film lub nawet serial. Profilerzy, z którymi rozmawialiśmy, przyznali, że nie było na świecie drugiego takiego przypadku. Oczywiście, zdarzały się sytuacje, kiedy zbrodniarze wykopywali zwłoki z grobów, aby wykorzystać fragmenty martwych ciał, ale dokładnie takiego modus operandi, jakie charakteryzowało Edmunda Kolanowskiego, jak dotąd nie było. Dziwne jest też to, że tak okropne rzeczy miały miejsce w centrum miasta, na ulicy Wodnej, kilkadziesiąt metrów od Starego Rynku. Gdybym przeczytał o tym w książce Kinga, to pomyślałbym, że ma wybujałą wyobraźnię. A tymczasem to działo się naprawdę i to jeszcze w naszym mieście.

Ostatnio w rozmowie z Michałem Larkiem profiler Łukasz Wroński, autor książki „W umyśle mordercy”, powiedział, że takich ludzi, jak Kolanowski, jest więcej.

Ciekawe jest to, że współcześnie tego typu sprawy nie są nagłaśniane tak, jak kiedyś. To przez ogromny natłok informacji. Jeśli jednego dnia nas coś zainteresuje, to z pewnością na drugi dzień o tym zapomnimy, ponieważ

Jeśli zagłębimy się w temat, to możemy stwierdzić, że w każdej dzielnicy i na każdej ulicy coś złego się kiedyś wydarzyło. W Poznaniu nie ma rejonu, w którym nie doszłoby do jakiegoś morderstwa.

skupimy naszą uwagę na czymś nowym. Pamiętam te opowieści Łukasza. Mówił, że pracując w szpitalu, z podobnymi przypadkami spotyka się właściwie na co dzień. Wiele z tych historii nigdy nie przedostało się do mediów.

Nad jakimi projektami jeszcze pracujesz?

Do 15 września skupiamy się na Edmundzie i wtedy kończymy kampanie sprzedażowe. Później mam na oku kilka spraw z Łodzi. Prawdopodobnie będzie to również seryjny morderca, a powstanie z tego albo książka, albo audioserial, albo seria podcastów. Złożyłem też wnioski do placówek w innych częściach Polski. Zapoznam się z tymi sprawami. Co znajdę w tych dokumentach? Zobaczymy. Jak już będę mieć wiedzę, wtedy wybiorę sprawę i format. Myślimy z Michałem nad stworzeniem kolejnych audioseriali. Mamy już na oku pewną poznańską sprawę z lat 90-tych, którą Michał zajmował się dość obszernie jakiś czas temu. Wiele zależy jednak od tego, jak przyjmie się audioserial o Edmundzie. Jeśli cała seria się spodoba, a sprzedaż będzie satysfakcjonująca, to możliwe, że będziemy kontynuować współpracę.

Marcin Myszka jest youtuberem – twórcą kanału „Niediegetyczne”, podcastu „Kryminatorium” oraz innych programów kryminalnych, także telewizyjnych.



„Jesteśmy w dobrym miejscu!”

**Whiskey in the Jar® i Stock Polska –
#WRESZCIERAZEM**

Na takie wieści z branży wszyscy czekamy! Firma Stock Polska, dystrybutor m.in. whisky Jim Beam, Maker’s Mark i Auchentoshan, oraz brand Whiskey in the Jar®, koncept restauracyjny oparty na kuchni amerykańskiej, whisky i muzyce rockowej wywodzący się ze stolicy Wielkopolski, łączą siły. Właśnie nadszedł czas, by ogłosić związek i powiedzieć wszem i wobec – jesteśmy #wreszcierzem, jesteśmy w dobrym miejscu!

Towarzyszące nowej współpracy hasło – #wreszcierzem – podkreśla zarówno fakt połączenia mocnych brandów, jak również odmrożenia gastronomii i wyczekiwanego powrotu do normalności. Po długiej przerwie spowodowanej covid-19 swoje drzwi otworzyły ponownie – z nową ener-

gią, siłą oraz partnerami – także restauracje Whiskey in The Jar w Poznaniu, Wrocławiu, Łodzi, Gdańsku i Warszawie.

Koncept *Whiskey in the Jar*® jest jednym z najprężniej rozwijających się podmiotów w branży gastronomicznej, wyróżniającym się najwyższą dbałością o jakość swojej oferty. Dla wszystkich tych, którzy cenią smak najlepszej wołowiny, amerykańskiej zabawy i wolności, jest już miejscem kultowym.

Whiskey in the Jar® SteakHouse & Rock'n'Roll to:

- sezonowane, dojrzewające mięso z wyselekcjonowanych hodowli
- JARy, czyli unikatowe, autorskie drinki na bazie whisky, podawane w designerskich słojach
- energetyczny dźwięk rock'n'rolla z koncertami Live Music.

„Nowe rozdanie, które mamy przed sobą, to kolejny etap realizacji naszych wizjonerskich celów. Naszym wyznacznikiem jest jakość, dlatego przywiązujemy ogromną wagę do brandów, z którymi współpracujemy. Stawiamy na pewnych, odważnych i innowacyjnych partnerów – stąd współpraca ze Stock Polska.” – mówi Michał Bobrowski, Global Beverage Manager Whiskey in the Jar®.

A co o nowej współpracy mówi Stock Polska? „Obecność marek dystrybuowanych przez Stock Polska w Whiskey in the Jar® jest potwierdzeniem jakości produktów, ale też kontynuacją strategii poszczególnych brandów, które charakterem wpisują się w to miejsce. Charakter marki Whiskey in the Jar® jest nam bardzo bliski. Mamy wspólne DNA, a w nim jakość, oryginalność, odwagę w działaniu, no i ten rockowy pazur. We wszystkich lokalizacjach spróbujecie JARów przygotowywanych na produktach z naszego portfolio, m.in. amerykańskiej whisky Jim Beam czy Maker's Mark, a także szkockiego single malta Auchentoshan. Maker's Mark to sztuka wykonania i czas, który przekłada się na smak i jakość, marka Auchentoshan natomiast łamie konwencję tradycyjnej whisky – może być składnikiem koktajlu i towarzyszyć dobrej zabawie. Z kolei Jim Beam to amerykańska marka-ikona wytwarzana według określonej receptury, która jest ceniona przez wszystkie pokolenia. Jako Stock jesteśmy w lokalach, w których możecie być sobą – a więc także w Whiskey in the Jar” – mówi Łukasz Konieczny Business Development and On Trade Director ze Stock Polska.

Jeśli lubisz dobrą whisky i najlepszej jakości mięso – zajrzyj do Whiskey in the Jar. Znajdziesz tam – jak zawsze! – JAR w sercu, rock w menu, ogień na scenie!

Więcej na:

www.stock-polska.pl

www.whiskeyinthejar.pl

Mamy wspólne DNA, a w nim jakość,
oryginalność, odwagę w działaniu,
no i ten rockowy pazur.



Miejsca niczyje dziś, miejsca wspólne jutro

Dlaczego miasto powinno (od) dać przestrzeń niezależnej kulturze



Tekst: Hubert Grupa

Choć polskim miastom, w tym Poznaniu, przybywa zrewitalizowanych parków, nowoczesnych biurowców, komfortowych osiedli i zaawansowanych węzłów komunikacyjnych, to gdzieś na drugim planie znika coś innego, lecz równie ważnego. Mowa o przestrzeniach wspólnych, które powinny spełniać funkcje miejsc pozwalających na integrację za pośrednictwem kultury i rozrywki. Miejsc, gdzie nikt nikomu nie przeszkadza. Miejsc, które choć są niczyje, są nas wszystkich. Miejsc, gdzie nie potrzeba biletu wstępu.

W Poznaniu od lat brakuje wolnej przestrzeni do uprawiania niezależnej kultury i rozrywki, czy to tej oddolnej, amatorskiej, kolektywnej, czy tej zorganizowanej, quasi-komercyjnej. Chodzi o przestrzenie, które – jak pokazują przykłady innych miast w Polsce – mogą przyczynić się nie tylko do rozwoju oferty w zakresie wspomnianych już kultury i rozrywki, ale również stać się inkubatorami integracji społecznej na szczeblu lokalnym, źródłami działań twórczych, stymulatorami małych biznesów, a przede wszystkim przywrócić do życia miejsca popadające w zapomnienie i ruinę.

Rozrost tkanki mieszkaniowej

Miasto pęcznieje od kolejnych inwestycji mieszkaniowych – w obrębie większości dzielnic Poznania trwają właśnie prace związane z powstawaniem nowych budynków czy osiedli deweloperskich. Gdy skończą się obecne, zaczną się następne. Plany rozwoju bazy mieszkaniowej są ambitne i stale aktualizowane, gdyż co rusz dowiadujemy się o zakupie kolejnej przestrzeni przez dewelopera, który to ma zamiar wznieść na niej budynek lub osiedle. Rozumiem to. Z jednej strony dostrzegam potrzebę zadbania o porzuconą przez lata politykę mieszkaniową, z drugiej jestem przeciwnikiem tego, jaką formę ona przyjmuje i jakimi zasadami się rządzi.

To, co jest pokłosiem wspomnianej, progresywnej polityki mieszkaniowej, to m.in. zanikanie przestrzeni wspólnych, w tym przestrzeni, które jeszcze chwilę temu tętniły życiem w zupełnie inny sposób niż ma to miejsce na Starym Rynku czy ulicy Wrocławskiej.

Miejsca wymazane

Stara Rzeźnia, OFF Garbary, Poznańskie Zakłady Graficzne – to zaledwie parę przykładów spośród całego mnóstwa miejsc, które zostały wymazane z mapy Poznania, a które jeszcze chwilę temu były (lub miały szansę być) ważnymi ośrodkami aktywności kulturalno-rozrywkowych, w tym również gastronomicznych czy wystawienniczych. Niestety, brakuje ich następców. Lokalni aktywiści i animatorzy kultury nie podejmują działań na rzecz znalezienia nowych przestrzeni do organizacji działań i wydarzeń. Nic dziwnego. Wielu z nich boi się, że lada moment ponownie zostaną zmuszeni do wyniesienia się z powodu wykupienia terenu przez prywatnego inwestora. Niektórzy zapytają „i co ma do tego miasto?”. Odpowiem: „nic, ale mogłoby mieć całkiem sporo”.

“Ot co, miasto ogłosiło przetarg, znalazł się kupiec, a zatem pora się wynosić. Impreza skończona.”

Krótki termin przydatności

Wspomniane w poprzednim akapicie przestrzenie do dziś przywoływane są w licznych, spowitych sentymentem wspomnieniach. Wszystkie te miejsca spotkał podobny los – wykupienie terenu przez prywatnego inwestora i przeznaczenie go na zupełnie inne cele. W niektórych przypadkach oznaczało to całkowite zniknięcie z powierzchni. Jednak co istotne, większość osób odpowiadających za odbywające się w tych miejscach działania kulturalne, a nawet prowadzone biznesy, miało świadomość tego, jaka przyszłość czekać będzie owe lokalizacje. Wszak nie były to tereny należące do kogokolwiek, kto był odpowiedzialny za mające tam miejsce aktywności czy lokale. Ot co, miasto ogłosiło przetarg, znalazł się kupiec, a zatem pora się wynosić. Impreza skończona.

Pomimo czasu i możliwości przygotowania się na zmiany, wiele osób czy nazw kojarzonych z takimi miejscami jak wspomniane OFF Garbary czy Stara Rzeźnia, nie odnalazło się w nowej sytuacji i zakończyło swoją działalność lub prowadzi ją na mniejszą skalę. Niech przykładami będą tu takie marki jak Las, Twoja Stara czy Circus Inferno.

W poszukiwaniu adresu obiecanego

Pierwsze dwie to nazwy lokali funkcjonujących w obrębie kulturalnego zagłębia jakim swego czasu był OFF Garbary. Miejsca te każdego weekendu gromadziły tłumy, proponując różnej maści wydarzenia, od koncertów, przez pokazy, po imprezy. Nowa rzeczywistość sprawiła, że wspomniane lokale zaczęły tułaczkę po mieście, co chwilę zmieniając lokalizację, jednocześnie nie mogąc ani na moment powrócić do świetności z czasów działalności pod pierwotnym adresem.

Z kolei Circus Inferno – komercyjne wydarzenie, cieszące się ogromną popularnością wśród fanów i fanek muzyki elektronicznej w czasach, gdy odbywało się w Starej Rzeźni – próbowało znaleźć nową przystań m.in. w budynku dawnego Dworca Głównego przy ulicy Dworcowej. Niestety, pomimo frekwencyjnego sukcesu, miejsce to okazało się feralne (zresztą nie tylko dla organizatorów Circus Inferno) i po dwóch próbach odpuszczono organizacji kolejnych edycji pod tym adresem. Jak mówią

“Niestety w Polsce, większość samorządów pod złymi rządami traktują te miejsca jako coś niechcianego.”

sami organizatorzy, „trzeba było stawać na rzęsach”, by scenografią, nagłośnieniem i oświetleniem spróbować wygrać z licznymi mankamentami dworca, w tym z fatalną akustyką (pomimo najwyższej klasy sprzętu i fachowców), pozbawionym charakteru wnętrzem (w stosunku do Starej Rzeźni) i ogólną infrastrukturą, będącą samą w sobie gigantyczną przeszkodą w przygotowaniu jakiegokolwiek wydarzenia z udziałem większej liczby ludzi.

Nieco innym przykładem są Poznańskie Zakłady Graficzne, a dokładniej kompleks budynków przy ulicy Wawrzyniaka, w których znajdowała się ich siedziba. To tutaj odbywał się Otwarty Market Jeżyce – wydarzenie, które od pierwszej edycji zdobyło serca lokalnej społeczności i stało się doskonałym miejscem dla twórców i twórczyni z całego miasta. Prezentowanie rękodzieła, twórczości artystycznej, wyrobów rzemieślniczych, a do tego pokazy, muzyka na żywo i domowa gastronomia – Otwarty Market Jeżyce przetarł szlaki wielu podobnym inicjatywom organizowanym później

fot. Mikołaj Winter



w innych miejscach, próbujących stworzyć wydarzenia o zbliżonym charakterze, m.in. poprzez zapraszanie do współpracy miejscowych twórców. To, co wyróżniało inicjatywę-protoplastę, to właśnie swego rodzaju oddolność działania, po poznańsku rzeklibyśmy „działania u podstaw”. Otwarty Market Jeżyce był zjawiskiem w duchu DIY, dość spontanicznym, a zarazem kolektywnie zorganizowanym przez ludzi, bez udziału większych nakładów finansowych czy zaangażowania dużych podmiotów. Inicjatorzy otrzymali od zarządcy zielone światło na wykorzystanie opuszczonej, popadającej w ruinę przestrzeni i zorganizowali serię wydarzeń, jakie nigdy wcześniej czy później nie miały już miejsca w Poznaniu.

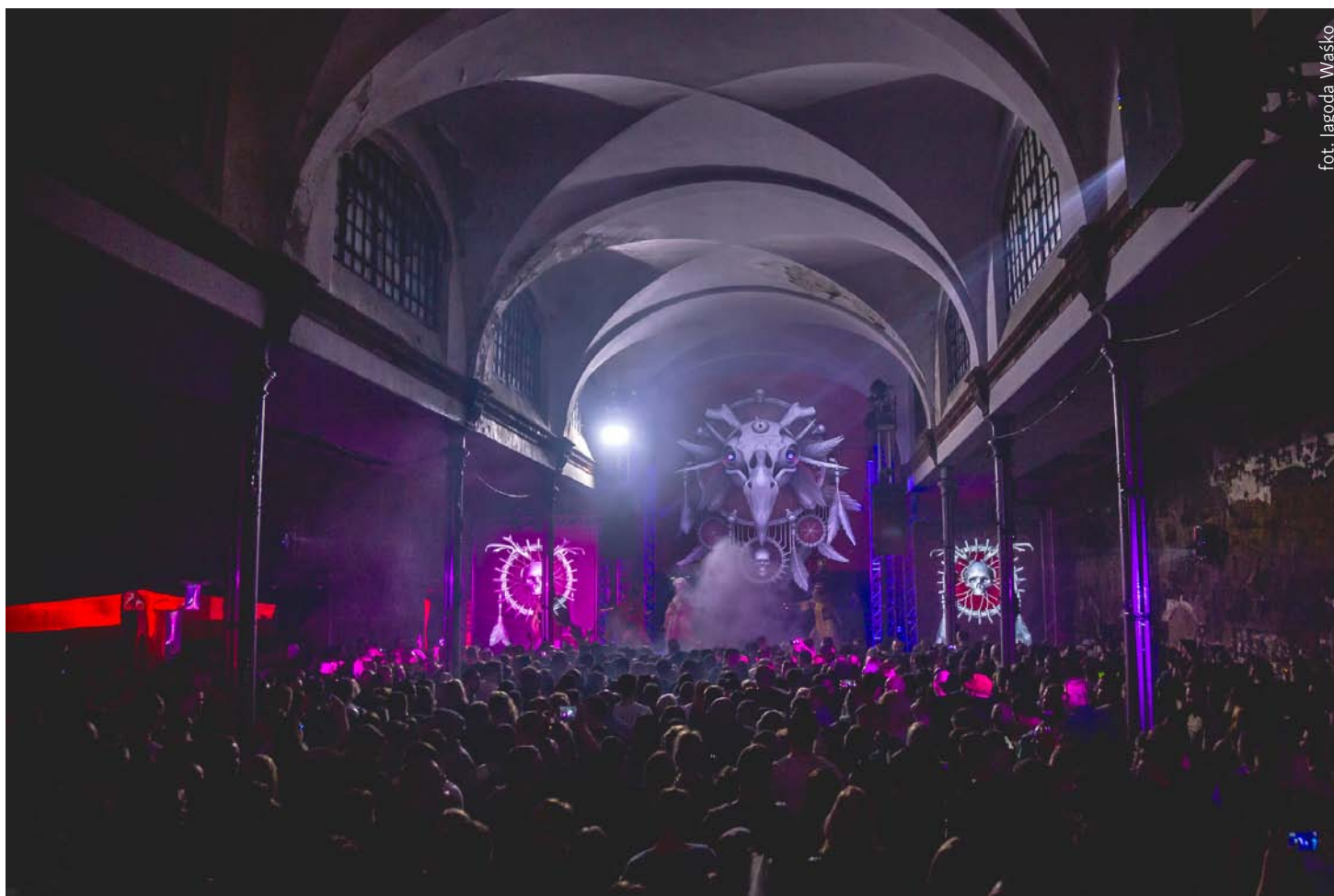
Schemat, według którego napisano historię końca tego miejsca, znajdziecie parę akapitów wcześniej. Szukajcie w okolicy słowa „inwestor”.

Co może miasto?

Wróćmy do pytania, które padło na początku: „i co ma do tego miasto?”. Owszem, nic. Ktoś powie, że władarze mają ważniejsze problemy na głowie i będzie mieć rację. Prawdą jest też, że tworzenie odpowiednich warunków zachęcających inwestorów do działania w obrębie Poznania, jest nie tylko istotniejsze, ale i korzystniejsze z punktu widzenia zarówno miasta, jak i samych mieszkańców. Jeden z najprostszych czynników to czynnik ludzki, a zatem – ponownie chwytając się polityki mieszkaniowej – więcej mieszkań to więcej mieszkańców, a więcej mieszkańców to więcej podatników. Z kolei więcej wpływów z podatków to więcej pieniędzy na inwestycje, w tym na kulturę i rozrywkę. Ten schemat – choć maksymalnie uproszczony, a w pewnym stopniu także nieprecyzyjny, naiwny i utopijny – pokazuje brutalną hierarchię priorytetów. Jednak jeśli spojrzymy na przykłady innych miast, być może wówczas nasz punkt widzenia ulegnie drobnej korekcji.

fot. Jagoda Waśko





fot. Jagoda Waśko

Postindustrialne, popadające w ruinę przestrzenie są obecne w niemal każdym większym ośrodku miejskim w Polsce. Transformacja ustrojowa pozostawiła po sobie sieroty w postaci opuszczonych miejsc, nierzadko będących kiedyś zakładami produkcyjnymi prężnie działających przedsiębiorstw. Takie lokacje – często o niemałej powierzchni – straszą, niszczą, tracą na wartości i czekają na inwestora z odpowiednio zasobnym portfelem. Nie brakuje przykładów, gdzie miasta od lat organizują przetargi, by sprzedać tego typu miejsca i nie mogą liczyć na zainteresowanie potencjalnych kupców. Tymczasem „uwolnienie” tych miejsc i przeznaczenie ich na kreatywną działalność może przynieść więcej korzyści niż najlepiej przygotowywana kampania PRowa.

Księga dobrych przykładów

Znajdująca się w obrębie Stoczni Gdańskiej Ulica Elektryków dziś jest chlubą Trójmiasta i jedną z najpopularniejszych letnich miejscówek w całej Polsce. Postępująca od ponad dekady rewitalizacja, a raczej reinkarnacja poprzemysłowej przestrzeni przyniosła efekty, których nie spodziewali się nawet ci, którzy zainicjowali te przemiany. Dziś miejsce to pełni rolę centrum życia kulturalnego, rozrywkowego, ale i społecznego Gdańska. Festiwale, koncerty, imprezy, pokazy, gastronomia, spotkania tematyczne i nie tylko – Ulica Elektryków to dowód na to, że koniec jednego, może oznaczać początek drugiego, a wtłoczenie świeżego powietrza i współ-

Włodarze miasta mogliby stworzyć oddzielną komórkę eventową w radzie miasta, złożoną z ludzi, którzy rozumieją branżę, w której działamy.



fot. Kacper Samsonowski

praca na linii środowisko kreatywne-miasto może przynieść obiecujące rezultaty. Rozwój Ulicy Elektryków pociągnął za sobą godne uwagi następstwa – wokół przybyło kolejnych lokali o charakterze rozrywkowym, najbliższa okolica została wyrwana z objęć zapomnienia i potransformacyjnego regresu oraz stała się doskonałym wabikiem na ciut młodszych turystów, którzy po zwiedzeniu najważniejszych punktów na mapie Trójmiasta, pragną spędzić popołudnie i wieczór gdzieś, gdzie wszystkie atrakcje będą na wyciągnięcie ręki.

Śląskie metamorfozy

Kolejnym godnym docenienia przykładem inicjatywy, która dzięki kulturze i rozrywce przywraca życie miejscom zapomnianym, jest ASID Global. Projekt ten, skupiony wokół muzyki elektronicznej, powstał

z myślą, by przedstawiać ją na żywo w nietypowych lokalizacjach. Jego inicjatorzy szukali wyjątkowych miejsc, które swoim klimatem będą możliwie najlepiej korelować z prezentowanym w nich brzmieniem. Tym samym ekipa ASID Global zajrzała do zakątków, do których dostęp mieli nieliczni. Mowa tu o poprzemysłowych budynkach znajdujących się na Śląsku.

Sukces projektu odbił się szerokim echem i zainteresował ludzi oraz podmioty niemające nic wspólnego ze sceną klubową. Jednak by cokolwiek mogło się wydarzyć, potrzebne były dialogi i chęć współpracy z obu stron, czyli organizatorów wydarzeń i zarządców przestrzeni. – Rozmowy, które prowadzimy z zarządcą terenu – samorządem lub właścicielem prywatnym – są najważniejszym czynnikiem sukcesu naszych wydarzeń. Bez zgody, którą bardzo często ciężko uzyskać ze względu na specyfikacje wydarzenia (trwającego całą noc), nie moglibyśmy nic zrobić – mówi Dominik Sielski, jeden z pomysłodawców ASID Global.

– Zazwyczaj kontakt z zarządcą terenu przebiega sprawnie, a same wydarzenia są tematem, o którym słyszymy bardzo często, że są super pomysłem i możemy liczyć na pomoc ze strony właściciela. Oczywiście napotykamy na niechęć do zrobienia czegokolwiek w miejscach opuszczonych, ale najczęściej w tym przypadku jest to własność prywatna – dobrym przykładem jest tutaj Elektrociepłownia Szombierki, która marzeniem właściciela powinna się zapaść pod ziemię kilka lat temu – dodaje nasz rozmówca.

To, co często budzi najwięcej wątpliwości w przypadku organizacji wydarzeń w nieużytkowanych, często niszczących miejscach, to kwestia bezpieczeństwa osób, które mają w nich przebywać. Sielski uspokoja: – Bezpieczeństwo uczestników jest dla nas najważniejsze. Jeśli chodzi o pozwolenia takie jak zgoda na imprezę masową, nigdy nie było problemem. Czy równie pozytywna jest ocena działań samorządów, które często jako instytucje zarządzające tego typu przestrzeniami, powinny dbać o ich atrakcyjność lub przynajmniej o to, by nie popadały w coraz większą ruinę i zapomnienie? W tym temacie Dominik ma dość wyraźne zdanie:

– Niestety w Polsce, większość samorządów pod złymi władzami traktują te miejsca jako coś niechcianego. Ucieknę znów do tematu Elektrociepłowni Szombierki, uważam że to bardzo dobry przykład. Miejsce to zostało sprzedane za śmieszne pieniądze prywatnemu właścicielowi, na którym ciąży wyrok. Każdy, kto zagłębi się w ten temat, zauważy jak ogromny proces korupcyjny zaistniał przy przekazaniu tego miejsca. Aktualnie – po zmianie władzy – rozpoczęła się walka o to miejsce i inne podobne. Miasto, konserwator zabytków powinny prowadzić ciągle kontrole takich miejsc, jak inwestować w nie pieniądze na rewi-



fol. Kacper Samsonowski

talizację oraz rozwój. Są to piękne przestrzenie o wielkich możliwościach zagospodarowania, na pewno lepszych niż poświęcenie tego terenu dla dewelopera.

Życie wróciło nad rzekę

A co w Poznaniu? Z jednej strony na przestrzeni ostatnich lat zaszły godne pochwały zmiany. Życie wróciło nad Wartę, nie tylko za sprawą zniesienia zakazu spożywania alkoholu na nadbrzeżnych terenach, lecz również dzięki Wartostradzie, generalnej rewitalizacji i coraz większej liczbie ciekawych miejsc, w których na gości czeka rozrywka, muzyka, jedzenie i nie tylko. Poznań idzie przykładem innych miast Polski i Europy Zachodniej, i tworzy warunki do tego, by jak najwięcej mogło dziać się w bliskim sąsiedztwie koryta rzeki, czyli w miejscu, gdzie – w założeniu – nikt nikomu nie powinien przeszkadzać.

Niestety, nie wszyscy mieszkają nieopodal Warty, a co za tym idzie, nie mogą liczyć na bliskość podobnych atrakcji. Tutaj pojawia się największy problem.

Wiele miejsc, które ukierunkowane są na przyciąganie ludzi po to, by spędzali w ich obrębie jak najwięcej czasu, a zatem organizujących wydarzenia kulturalno-rozrywkowe nierzadko trwające od wczesnych godzin

popołudniowych aż do nocy, musi liczyć się ze znacznie trudniejszymi warunkami egzystencji. Jak pokazują przykłady tego typu przestrzeni w Poznaniu – dajmy na to Nocnego Targu Towarzystwa czy Pleneru Promienista – jakkolwiek ich oferta przyciąga tłumy i dodaje kolorytu dzielnicom, w których od lat nic się nie działo, to lokalnej społeczności niekoniecznie takie inicjatywy muszą się podobać.

Szacunek i spokój prawem wszystkich

Permanentny hałas, a niekiedy także zaśmiecanie okolicy czy akty wandalizmu to jedynie wycinek niedogodności, na które najmocniej uskarżają się mieszkańcy sąsiadujących z tego typu miejscami osiedli. Niestety, taki zestaw dokuczliwości serwowany niemal w każdy weekend, może doprowadzić co najmniej do frustracji, a niekiedy i do grupowego sprzeciwu, którego efektem jest wstąpienie na wojenną ścieżkę (prawną?). Dlatego w poszanowaniu dla życia społecznego i wspólnej przestrzeni, potrzebujemy miejsc, które będą łączyć, a nie dzielić. Miejsc dziś niczyich, które mogą stać się miejscami nas wszystkich. W tym punkcie potrzebujemy ingerencji miasta.

Nie chodzi tu o wielomilionowe inwestycje czy przygotowywanie kompletnie nowej infrastruktury – chodzi o „uwolnienie” przestrzeni, które mogą stać się miejscami, gdzie odbywać się mogą wszystkie wspomniane wyżej aktywności – kulturalne, rozrywkowe, wystawiennicze, gastronomiczne, itd.

Jak wspierać animatorów kultury

Tu do głosu powinna dojść druga strona – wspomniani już wcześniej animatorzy kultury, którzy być może zdecydowaliby się na śmielsze działania, gdyby tylko mieli ku temu możliwości i należyte wsparcie. Michał Plis, poznański booker i promotor, założyciel Be Kolektiv – grupy z powodzeniem organizującej wydarzenia w całej Polsce, ma wiele do powiedzenia na temat tego, czego brakuje, by w stolicy Wielkopolski mogła rozwijać się niezależna kultura i rozrywka. – Przede wszystkim brakuje mi wsparcia miasta i nie mówię tu tylko o finansowym. Robienie wydarzeń plenerowych często wiąże się ze skargami sąsiadów, zwykle władze stoją po ich stronie, nie próbując dążyć do kompromisów i mediacji. W ten sposób „straciłem” co najmniej 3 lokalizacje.

Miasto jako mediator, ale i ambasador oddolnych inicjatyw kulturalnych? Jak najbardziej. Niestety, coś, co brzmi tak entuzjastycznie i wzniosłe, dość znacząco rozmija się z rzeczywistością – Włodarze miasta mogliby stworzyć oddzielną komórkę eventową w radzie miasta, złożoną z ludzi, którzy rozumieją branżę, w której działamy – kontynuuje



fot. zbiory Be Kolektiv

Plis. Wspomniana „komórka” mogłaby zająć się m.in. zagospodarowaniem miejsc, które mogłyby stać się przestrzeniami kulturotwórczymi, tak jak wspomniana Ulica Elektryków w Gdańsku czy niegdyś tutejsza Stara Rzeźnia. Michał Plis zna więcej takich lokalizacji wartych zaadaptowania na użytek ludziom: – Mógłbym tak wymieniać... pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to kilkanaście fortów w Poznaniu, perełki na skalę światową, w dużej mierze w rękach miasta bądź fundacji, które z tymże miastem mają głównie pod górkę....

Sam, jako promotor i organizator wydarzeń, miał doświadczenie z paroma lokalizacjami, które okazały się wdzięcznymi przestrzeniami dla masowych imprez. – Wspomnę o dwóch swoich inicjatywach, czyli Fort Fest Carnaval, odbywającym się kolejno na Forcie VI i II, oraz Las Palace (w Chociczy – przyp. red.), który ratujemy z ruiny i chętnie oddajemy artystom. Warto wspomnieć również o Koszarach Kultury, które są inicjatywą i w dużej mierze finansowane przez dewelopera – kontynuuje Michał.

Uwagi osób takich jak Plis, mogłyby stać się bezcennym źródłem wiedzy, której być może brakuje urzędnikom, a która mogłaby dać miastu ogromne korzyści w zakresie pomysłu na wykorzystanie nieużytków.



fot. zbiory Be Kolektiv



fot. zbiory Be Kolektiv

Co może miasto?

Rolą miasta powinno być znalezienie takich przestrzeni i wykonanie minimum wysiłku, by można było je zaadaptować do nowych, prospołecznych lub prokulturalnych funkcji. Przygotowanie miejsc, by spełniały odpowiednie warunki techniczne i sanitarne, a także by były po prostu bezpieczne to jedno. Drugie to konsultacje, zarówno z mieszkańcami najbliższej okolicy, jak i specjalistami z różnych dziedzin, którzy będą mogli fachowo ocenić jakie przestrzenie nadają się na tego typu przedsięwzięcia, a jakie nie. Z terenami nadrzeczna Warty się udało, może uda się w innych częściach miasta? Bardzo chciałbym w to wierzyć i za jakiś czas przekonać się, że ta wiara nie była jedynie naiwnym marzeniem.

„Złota polska jesień, miłsza mi niż wiosna”

Z rowerem w nowy sezon

Tekst: Karol Woźniak

Foto: Krzysztof Czas

Jesień zbliża się nieubłaganie, a sezon rowerowy przechodzi w kolejny etap. Dobrze więc pomyśleć o przygotowaniu swojego bicyklu na ten chłodniejszy okres roku. A jeśli coś robić, to tylko z najlepszymi – dlatego skorzystaliśmy z porad głównego specjalisty od spraw technicznych serwisu Piggy Bikes Custom, Karola Woźniaka. Oddajmy mu głos.

„Złota polska jesień miłsza mi niż wiosna”, szło w pewnej piosence – choć biorąc pod uwagę to, co ostatnio widać za oknem, to bardziej „słota”, niż „złota”. Ale nie czepiajmy się szczegółów...

Tak, że już jesień... że co? Jeszcze nie? Dopiero 23. września? Oj tam, oj tam, może i JESZCZE nie, ale jednak – cytując kolejną piosenkę – „jesień idzie, nie ma na to rady”.

Chociaż... właściwie jest. A nawet „są”, bo jest ich wiele – konkretnie, „wiele cennych rad jak przygotować siebie i rower do sezonu jesienno”. Oto i one:

Choć wydawałoby się, że jesienią jeździ się właściwie tak samo jak latem, to jednak niezupełnie „tak samo”. Przede wszystkim, dni są coraz krótsze i zmrok zapada wcześniej – a jak wszystkim dobrze wiadomo, „w nocy jest ciemno” – i mało widać. Szczególnie mało widać nieoświetlonego roweryście – i nie chodzi tu o „oświetlonego światłem latarni ulicznej” czy „światłami szybko nadjeżdżającego samochodu” – tylko o OŚWIETLENIE WŁASNE roweru.

Niby „oczywista oczywistość” i „wszyscy wiedzą”, ale... niekiedy nie się stosują. A to jest ważne – a nawet BARDZO WAŻNE! – bo rowerzysta bez świateł (czy choćby elementów odblaskowych) jest dla przeciętnego kierowcy po zmroku praktycznie niewidoczny. Owszem, światła rowerowych nie rozdają za darmo – ale ile by one nie kosztowały, to i tak zakup przyzwoitego „średniego” zestawu lampek wyjdzie zdecydowanie taniej niż gustownie urządzone pogrzeb.

I owszem, białe rowery są nawet ładne – ale niekiedy nie te, które czasem widuje się przy skrzyżowaniach w towarzystwie kilku zniczy. Nie o takie „oświetlenie roweru” nam chodzi.

Co dalej? Błotniki! O ile latem debeściaki i twardziele doskonale się bez nich obywają – bo ciepło, mało pada, a nawet jeśli, to zaraz obeschnie (no



i „chłopaki nie płaczą”), to jednak jesienią rzeczy inaczej się mają. Nie tylko, że pada częściej, ale również woda dłużej zalega – bo jest już chłodno. I nie chodzi tu nawet o komfort własny czy o „czystość” – chodzi o to, że strumień wody wyrzucony prosto w twarz (i oczy) spod przedniego koła roweru, który akuratnie przemierza błotnistą kałużę na samym dojeździe do skrzyżowania, może sprawić, że... no, wiadomo co. (Opis drastycznych detali jest zbędny.)

Czas na koła. Łyse opony nigdy nie są dobrym pomysłem, a już szczególnie wtedy, gdy drogi są mokre lub pokryte opadłymi liśćmi. Także, opony typu „slick” – nawet nieźle na lato i suche drogi, ale na nadchodzące tygodnie i miesiące słabo się nadają. Zadbajmy więc o te „gumki”, bo to nasz jedyny kontakt z Matką Ziemią (pomijam tu „bliskie spotkanie” z nią po upadku w poślizgu...) – i jedyne Źródło przyczepności do podłoża przy hamowaniu.

A skoro przy hamowaniu jesteśmy, to i hamulce. Wprawdzie dziś już praktycznie nie spotyka się kół ze stalowymi obręczami (które na mokro „hamują” jak by z naoliwionego mydła były zrobione) to współczesne obręcze aluminiowe też tracą część przyczepności „hamulcowej” kiedy są mokre. Wprawdzie hamulce tarczowe (te hydrauliczne i te mechaniczne), jak i hamulce bębnowe i rolkowe pozbawione są tej przypadłości, ale

wciąż jednak znakomita większość rowerów jest wyposażona w popularne hamulce V-brake z gumowymi klockami hamulcowymi. Sprawdźmy więc PRZED jesienią stan tych klocków, a jeśli są już poważnie zużyte to wymieńmy je TERAZ – i nie czekajmy z wymianą do wiosny – bo właśnie TERAZ będziemy szczególnie potrzebować sprawnych hamulców. Zresztą, w „błotnistych” warunkach klocki te ścierają się szybciej.

I nie kupujmy najtańszych „noname’ów” – nie warto! Skład mieszanki gumowej z jakiej są zrobione klocki hamulcowe ma ogromne znaczenie dla skuteczności hamowania. Lepiej jest kupić choćby przyzwoite średniaki, najlepiej w wersji do używania podczas „każdej pogody” (gdzie część klocka jest z gumy „na suche”, a część z takiej „na mokre” warunki). Nie muszą to być klocki „top of the line” – wystarczy, że nie będzie to „bottom of the barrel”.

Pozostając w temacie hamulców – sprawdźmy też linki hamulcowe i ich pancerze – czy nie podrdzewiały, czy gładko chodzą, czy druty przy śrubie zaciskowej nie zaczęły się strzępić – bo jeśli tak, to trzeba wymienić je jak najprędzej. Oczywiście, linki nierdzewne są zasadniczo najlepsze, ale przyzwoitej jakości linki stalowe ocynkowane („galwanizowane”) też w zupełności wystarczą.

Idziemy dalej – napęd. Częścią najbardziej wrażliwą na warunki i zaniedbania w pielęgnacji jest łańcuch. Różne są szkoły smarowania łańcucha, ale wszystkie one zgadzają się co do dwóch zasadniczych aspektów – pierwszy to ten, że „łańcuch się smaruje”, a drugi, że „woda NIE JEST najlepszym smarem do łańcucha”.

Latem wielu z nas korzystało z tzw. suchych preparatów smarujących, co miało sens, gdyż nie łapią tak bardzo kurzu (którego latem wszędzie pełno), a ich podatność na wymywanie przez wodę „nie robiła”, kiedy ta woda pojawiała się nieczęsto. Wystarczyło nałożyć taki smar raz na 50 czy 100 km (lub po każdym deszczu), i jazda! Ale teraz kurzu jakby mniej, a deszczu więcej, czas więc przejść na smary do mokrych warunków. Nie wypływają one tak łatwo jak te „suche”, więc nie tylko lepiej nasmarują nam łańcuch (przez co ten będzie przenosił napęd z mniejszym oporem), ale też skuteczniej zabezpieczą go przed korozją.

Może i łańcuch będzie bardziej „brudzący”, ale „coś za coś” – a poza tym zawsze można pomyśleć o osłonie na łańcuch.

Skoro już wspomnieliśmy o korozji, to trzeba też napomknąć o coraz bardziej popularnych, szczególnie w rowerach miejskich, piastach wielobiegowych. Bo choć od lat wiadomo, że „kto smaruje, ten jedzie”, to z przyczyn sobie tylko znanych wiodący producent takich piast (a zasadniczo,



„jedyne” – SHIMANO) od jakiegoś czasu zaczął oszczędzać na smarowaniu. Smaru w środku tyle, co kot napłakał, byleby starczyło na czas gwarancji, a potem... No cóż, zawsze można kupić nową, c’nie?

Rzecz w tym, że jeśli piasta jest słabo nasmarowana (a to „fabryczne” smarowanie najczęściej takie jest), jej wnętrze staje się bardziej podatne na korozję. Wystarczy że trochę wody dostanie się do środka – co dość łatwo może się zdarzyć przy częstych „deszczowych” jazdach (np. do szkoły czy pracy). Pół biedy, jeśli korozji ulegną pojedyncze podzespoły (zabierak, przekładnia czy inne) – wtedy uszkodzoną część można po prostu wymienić (choć nie są one szczególnie tanie). Ale jeśli korozja uszkodzi bieżnię łożysk (które są na korpusie piasty), to wtedy niestety pozostaje tylko wymiana całej piasty. Która kosztuje jeszcze więcej – a do tego trzeba doliczyć koszt przeplecenia koła.

Tak, że wszystkich posiadaczy rowerów – i tych z takimi piastami, i wszystkich innych – serdecznie zapraszamy na smarowanie i inne atrakcje do salonu Piggy Bikes Custom, który znajdziecie na Wierzbęcicach 29 w Poznaniu.



fot. Przemysław Szyszka

Dziesięć Wspólnych Lat

DWL, trzecia piłkarska siła Poznania



Tekst: Michał Krupski

Zastanawialiście się kiedyś, ile jest klubów piłkarskich w Poznaniu? Na pewno znacie Lecha i Wartę. Możliwe, że słyszeliście o Olimpii, która już wiele lat temu zbankrutowała. Na ten moment do rozgrywek zarejestrowanych jest aż 17 drużyn z Poznania. A czy wiecie, jaka jest aktualnie trzecia piłkarska siła naszego miasta? Drużyna Wiary Lecha.

Klub założony przez kibiców Lecha, właśnie obchodzi swoje dziesięciolecie. Występuje w V lidze i ma bardzo dobry start nowego sezonu. Chwilę przed oddaniem Freshmaga do druku kibice wygrali derby z TPS Wino-grady. Był to wyjątkowy mecz, bo właśnie na nim rozpoczęły się obchody okrągłych urodzin. Na trybunach stadionu na osiedlu Wichrowe Wzgórze było około tysiąca osób, z czego zdecydowaną większość stanowili sympatycy Kolejorza, co jest ewenementem na skalę krajową na tym poziomie rozgrywkowym.

Klub DWL narodził się w 2006 roku, ale dopiero 5 lat później zaczął grać na poważnie. Na początku była to fajna przygoda z regionalnym Pucharem Polski. Z tamtych czasów pamiętne pozostaną mecze na stadionie przy Cytadeli oraz w Kaźmierzu, które zgromadziły setki osób na trybunach. Już wtedy było jasne, że ta przygoda będzie zdecydowanie dłuższa niż kilka meczów. DWL zgłosiło się do B klasy i od tamtej pory rokrocznie notuje progres. Aktualnie poznańscy kibice są jednym z fa-

worytów do ataku na IV ligę, mimo, że mają prawdopodobnie najniższy budżet w V lidze.

— Budżety większości klubów na tym poziomie rozgrywkowym są kilkukrotnie wyższe niż nasz. W porównaniu do naszych rywali (poza derbowymi), nie możemy liczyć na wsparcie samorządu. Musimy sobie radzić sami. Musimy walczyć o każdą złotówkę. Zawodnicy płacą składki, nie otrzymują żadnych pieniędzy za grę oraz muszą opłacać transport na mecze. Mamy sporo sponsorów, ale kwoty pozyskiwane od nich pozwalają nam wyjść na tzw. „zero” — mówi prezes klubu Paweł Piestrzyński.

DWL na co dzień rozgrywa swoje mecze na kameralnym obiekcie obok Bramy Poznania, ale treningi mogą się odbywać na boiskach treningowych Lecha Poznań, co jest ukłonem działaczy z Bułgarskiej w kierunku kibiców. Trudno się dziwić, skoro wszystko co dzieje się wokół DWL, jest związane ze wspieraniem Lecha, a w zeszłym roku w drużynie pojawili się byli zawodnicy Kolejorza. Grają tam aktualnie Jakub Wilk, Zbi-



fol. Mateusz Szymandera

gniew Zakrzewski, Hubert Wołakiewicz, Błażej Telichowski oraz były zawodnik rezerw Lecha Marcin Mazurek. Są to piłkarze, którzy zaznali smaku Mistrzostwa Polski oraz Pucharu Polski. Jest to o tyle wyjątkowa sytuacja, gdyż do niedawna Drużyna Wiary Lecha składała się tylko i wyłącznie z kibiców aktywnych na wyjazdach poznańskiego Lecha. Osoby związane z DWL są bardzo oddane klubowi. Mimo, że nie zawsze mają szansę na regularne występy i poza reprezentowaniem niebiesko-białych barw nie mogą liczyć na inne profity, przez wiele lat działają aktywnie z klubem.

— Jesteśmy chyba jedną z niewielu drużyn, w której co rok trenuje grupa około 30-osobowa, tak, że rywalizacja o skład jest bardzo trudna. W trakcie mojej blisko 8-letniej przygody w DWL, jako zawodnik mocno się rozwinąłem, jednak nigdy nie byłem raczej zawodnikiem pierwszego składu. Zawsze ciężko trenuję i angażuję się, a trener i koledzy z drużyny wiedzą, że zawsze mogą na mnie liczyć. Każdy, kto choć trochę ma Lecha Poznań w sercu i miałby możliwość zagrać w koszulce z kolejowym herbem na piersi, innych motywacji nie musi szukać — mówi Artur Grajkowski, zawodnik DWL.

— Człowiek widzi te same twarze od wielu lat po kilka razy w tygodniu — obok tego nie da się przejść obojętnie. Spędzamy razem mnó-

stwo czasu. Po ostatniej gali z okazji 10-lecia klubu, właściciel knajpy sam przyznał, że jeszcze nie mieli okazji gościć tak wesołej, zgranej i kulturalnej społeczności. DWL dzisiaj to przede wszystkim duża, zorganizowana grupa kibicowska. Nie można powiedzieć, że to grupa 35 zgłoszonych do rozgrywek zawodników i koniec. To przede wszystkim ludzie, którzy od wielu lat działają razem w tym samym celu. To prezes, trener, kierownik, masażyści, sponsorzy, zawodnicy, byli zawodnicy oraz ludzie, którzy są blisko tej drużyny od zawsze. To zdecydowanie coś więcej — dodaje Krzysztof Szenfeld, który poza występami w DWL nagrał właśnie rapowy kawałek „DWL 2”, który znalazł się na jego nowej płycie zatytułowanej „Entuzjasta Życia”.



fol. Mateusz Szymandera

Człowiek widzi te same twarze od wielu lat po kilka razy w tygodniu — obok tego nie da się przejść obojętnie. Spędzamy razem mnóstwo czasu



fot. Mateusz Szymandera

DWL to nie tylko seniorska piłka nożna. Klub stał się wielosekcyjny, co jest naturalnym etapem rozwoju.

— Na sezon 2021/2022 zostały zgłoszone trzy zespoły „Duszynek” (młodzieżowych grup DWL — przyp. red.) — juniorzy, młodzicy i orlicy. Zajmują się nim kibice Lecha Poznań — Piotr Borowski oraz Piotr Goderski. Jednym z trenerów młodzieżowych grup jest również Jarosław Araszkievicz — żywa legenda Kolejorza, pięciokrotny mistrz Polski. Od 2014 roku istnieje sekcja kolarska, która w ostatnich latach osiąga wiele sukcesów. Przed nami już trzeci sezon sekcji koszykarskiej. Przez ostatnie dwa lata drużyna awansowała do play-off o drugą ligę, a także zagrała mecz ligowy w hali Arena, który przyciągnął ponad 2 tysiące widzów. Nowym dzieckiem Wiary Lecha będzie sekcja futsalu. Pierwsze treningi rozpoczną się już we wrześniu, a na ligowy mecz o punkty poczekamy niecałe dwa miesiące — mówi Paweł Piestrzyński.

Drużyna Wiary Lecha obchodzi swoje dziesięciolecie, a Lech Poznań za chwilę będzie obchodzić stulecie. Życzymy im, aby wspólnie osiągnęli jak największe sukcesy i dawali sobie nawzajem wiele radości, zarówno na trybunach jak i na boisku. Tych, którzy mają w sercu Lecha i poszukują odskoczni od skomercjalizowanej Ekstraklasy, zapraszamy na Śródkę, gdzie co dwa tygodnie można oglądać piłkarzy z pasją, poświęceniem i oddanych klubowym barwom.



Między nami dziewczynami

Rozmowa z zespołem Shyness!



Rozmawiała: Joanna Gruszczyńska

Foto: Daszkow Malkowicz



Shyness! to nowy poznański zespół złożony z samych dziewczyn, który w sierpniu wydał debiutancką płytę i zdążył już zagrać na kilku większych festiwalach. W jego skład wchodzi: Asia Bielawska, Iwona Skwarek, Iga Krzysik i Julia Pacyńska. Dziewczyny opowiedziały nam o nieśmiałości związanej z występami na scenie, silnych i inspirujących artystkach oraz o współpracy z facetami, którym zdarza się objaśniać kobietom świat.

Nazwałyście się girlsbandem bardziej z przekory czy dla żartu?

Asia: Jesteśmy zespołem złożonym z samych dziewczyn, więc to słowo do nas pasuje. Chciałybyśmy je też trochę odczarować i udowodnić, że dziewczyny potrafią wszystko zrobić same, łącznie z produkcją muzyki, którą u nas zajmuje się Iwona. Może nie tańczymy na scenie jak klasyczny girlsband, ale każda z nas gra na jakimś instrumencie, a niektóre z nas nawet na kilku. Myślę, że pod słowem „girlsband” kryje się zarówno dużo przekory, jak i kobiecej siły.

Shyness! powstało z inicjatywy Asi i Iwony Skwarek. Czy od początku założenie było takie, że jeśli powiększycie skład, to do współpracy zaprosicie same kobiety?

Asia: Kiedy zaczęłam pracę z Iwoną, poczułam dobrą, wcześniej mi nieznaną energię. Myślę, że połączyło nas wspólne doświadczenie związane z pracą z facetami. W przeszłości często traktowali nas oni w protekcyjny i deprymujący sposób. Pracując razem, stworzyłyśmy dla siebie przyjazną przestrzeń, której nie chciałyśmy tym razem dzielić z mężczyznami.

Julia: Ja mam wrażenie, że nasze *safe space* dopiero się wypracowuje, bo cały czas się poznajemy. Najważniejsze jest jednak to, że czujemy się ze sobą swobodnie i możemy sobie pozwolić na spontaniczność i szczerłość.

Iga: Na przykład nie wstydzimy się, że czegoś nie wiemy, dzięki czemu mamy przestrzeń, żeby pracować nad aspektami technicznymi i się rozwijać. Nie musimy nikomu nic udowadniać i to poczucie jest bardzo wyzwalające.

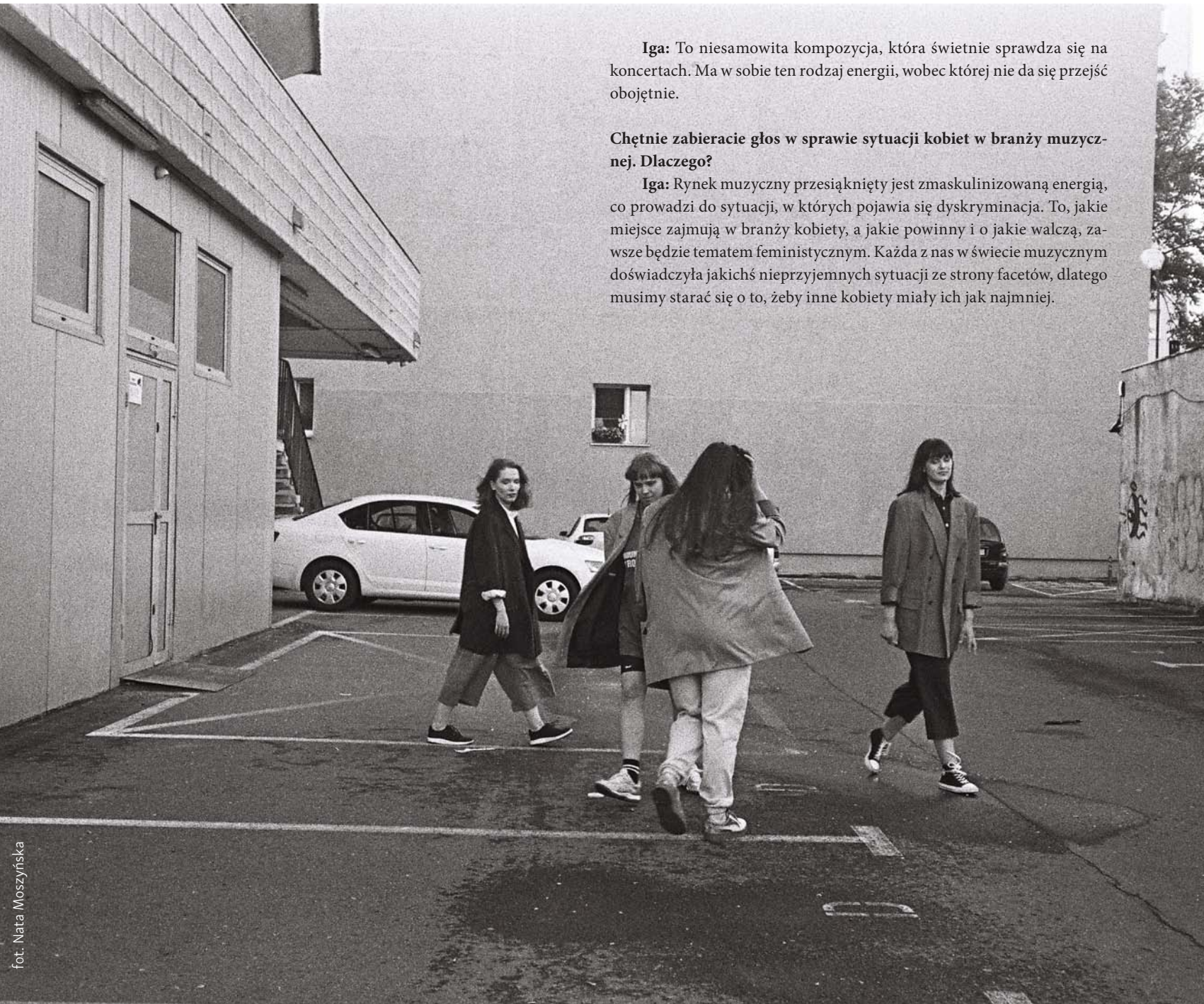
W takim razie jak to się stało, że do Iwony i Asi dołączyły Iga i Julia?

Iga: Do Shyness! wkręciła mnie Asia, z którą znam się już dobrych parę lat. Wcześniej występowałam z nią na żywo jako część jej projektu Asia i Koty.

Julia: Ja znałam się z Bartkiem Szczęsnym. Chodziłam do niego na zajęcia, podczas których pomagał mi z kompozycją moich własnych utworów. Kiedy Bartek wyjechał do Warszawy i praca nad moim projektem stanęła, Iwona, która musiała usłyszeć o mnie od Bartka już wcześniej, zaprosiła mnie do Shyness!.

Kolejną kobietą, pojawiającą się na płycie, jest Ewa Sad. Razem z nią wykonujecie cover jej piosenki „Elephant Man”.

Asia: Pomysł wyszedł od Iwony, która znalazła tę bardzo starą piosenkę Ewy, którą Ewa napisała, mając piętnaście lat. To bardzo dziwny i mocny utwór. Po pierwszym wspólnym przesłuchaniu, od razu wiedzieliśmy, że musimy nagrać go razem.



Iga: To niesamowita kompozycja, która świetnie sprawdza się na koncertach. Ma w sobie ten rodzaj energii, wobec której nie da się przejść obojętnie.

Chętnie zabieracie głos w sprawie sytuacji kobiet w branży muzycznej. Dlaczego?

Iga: Rynek muzyczny przesiąknięty jest zmaskulinizowaną energią, co prowadzi do sytuacji, w których pojawia się dyskryminacja. To, jakie miejsce zajmują w branży kobiety, a jakie powinny i o jakie walczą, zawsze będzie tematem feministycznym. Każda z nas w świecie muzycznym doświadczyła jakichś nieprzyjemnych sytuacji ze strony facetów, dlatego musimy starać się o to, żeby inne kobiety miały ich jak najmniej.

Jakiego typu sytuacje to były?

Asia: Od bardzo niewinnych żarcików typu „co będziesz tak dźwigać”, do sytuacji, w których mężczyźni z góry zakładają, że skoro jesteś mi łaskami, to nie ogarniamy aspektów technicznych.

Iga: Żeby było jasne – wiele razy bardzo skorzystałyśmy na współpracy z facetami, ale też niestety równie często spotykałyśmy się z mansplainingiem. Mówienie nam czegoś, co już wiemy, w sposób protekcyjny jest bardzo krzywdzące i wkurzające.

Asia: Ostatnio złapałam się na tym, że wielokrotnie bezkrytycznie przyjmowałam to, co usłyszałam od faceta, nawet jeśli nie miał pojęcia, o czym mówi. Zamiast zaufać sobie, ufałam im i podejmowałam decyzje niezgodnie z własną wolą. Kiedy zorientowałam się, jakiemu mechanizmowi podlegam, poczułam duży niesmak.

Jakie kobiety zajmujące się muzyką były dla Was ważnym punktem odniesienia?

Julia: Ważną postacią jest dla mnie rosyjska producentka Kedr Livanskiy. Kiedy dowiedziałam się, że Kedr robi wszystko sama, pomyślałam: „ej, też tak chcę”.

Iga: Gram na gitarze, dlatego punkowy czy post-punkowy etos jest mi bliski, na przykład zawsze ceniłam dziewczyny z zespołu Sleater-Kinney. W ogóle jest coś takiego w graniu na gitarze, co daje siłę i poczucie odzyskiwania przestrzeni okupowanej przez mężczyzn. Kobiety, które pokazały mi, że można wykorzystać ten instrument nie tylko w klasyczny sposób to Laura Marling czy Annie Clark, które budują swój wizerunek na różnie pojmowanej silnej kobiecości.

Asia: Często jest tak, że to, co się poznało w młodym wieku, rezonuje najmocniej. Mam tak z Cat Power, którą pokochałam, będąc jeszcze nastolatką. Długo się z nią utożsamiałam, bo – tak jak ja – walczyła z blokadą przed występami, przez co zmagiała się z załamaniami nerwowymi. To nie tajemnica, że jako Asia i Koty mocno się na niej wzorowałam. Drugą artystką, która przychodzi mi do głowy, jest PJ Harvey.

Wydaje mi się, że Wasze klipy i sesje zdjęciowe podkreślają połączenie kobieta-natura. Bardzo lubię teledysk do „Ready to Lose I” nakręcony na Stadionie Szyca.

Iga: Ten pomysł zawdzięczamy naszemu reżyserowi, Jakubowi Żwirleń. Szukałyśmy miejsca z chwastami i kwiatami, ale jednocześnie nie chciałyśmy oddalać się od miasta, dlatego Stadion Szyca okazał się strzałem w dziesiątkę. Ten wybór był też mocno estetyczny. Jeśli chodzi o klip do „New dawn”, to postanowiłyśmy rozwinąć motyw żywiołów, który pojawił się już na naszej pierwszej sesji.



Jakie są Wasze plany na najbliższy czas?

Asia: Bierzymy udział w projekcie dla poznańskich zespołów, zorganizowanym przez Miasto Poznań. W konkursie zostało wyłonionych trzynaście zespołów, w tym nasz, które w nagrodę zrealizują jedną piosenkę i sesję live w studiu Włada2. Piosenkę „Fomo” już nagrałyśmy, teraz czekamy na nagrywkę live sesji. Możemy już zdradzić, że będzie to nasza pierwsza piosenka po polsku.

Julia: Piosenka powstała podczas burzy mózgów, ale wydaje mi się, że pomysł zainicjowała sytuacja, kiedy Iwona była bardzo rozgoryczona, bo ominęła któryś z meczów Mistrzostw Europy. (śmiech)

Na koniec nawiązując do Waszej nazwy, chciałabym zapytać, czym jest dla Was nieśmiałość? Dla mnie nieśmiałość łączy się na przykład ze strachem przed występami i byciem w centrum uwagi. A tych sytuacji trudno uniknąć, będąc muzyczką.

Asia: Pragnienie występowania od zawsze kłóci się z naszą nieśmiałością. Nie raz chciałam zrezygnować z grania, bo czułam, że już nie daję rady, bo to dla mnie za duże obciążenie psychiczne. W tych momentach przypominałam sobie, że są osoby, dla których to, co robię, ma znaczenie i że one chcą mnie słuchać. Poza tym za każdym razem, kiedy odpuszczałam, pojawiała się silna potrzeba wyjścia na scenę i ból, że tego nie robię. Na pewno grając z dziewczynami, na scenie czuję się pewniej niż podczas występów solowych.

Iga: Coraz bardziej przełamujemy się na scenie. Oprócz tego, że potrafimy coś zagrać czy zaśpiewać, zaczynamy wchodzić też w interakcje między sobą i ze swoimi odbiorcami.

Julia: Myślę, że nadal jesteśmy nieśmiałe i walczymy same ze sobą. Jednak po kilku koncertach z trasy, możemy powiedzieć, że jesteśmy zwyciężczyniami nad nieśmiałością.

Wszystko w równowadze z samą sobą

Vonda7



Rozmawiał: Łukasz Kowalka

Foto: Johanna Makowski





Swoje pierwsze dj'skie kroki stawiała w Polsce, ale to na emigracji zdobyła pozycję, która pozwoliła jej regularnie występować w całej Europie i współpracować z prestiżowymi wytwórniami. Dziś Vonda7 to zdecydowanie jedna z najjaśniej świecących postaci sceny klubowej z naszego kraju. W trakcie pierwszego lockdownu w końcu ukończyła swój pierwszy album, prezentujący spektrum inspiracji wykraczające poza house i techno, z których była dobrze znana. Nam opowiada o tym czego szukała wyjeżdżając z Polski, co znalazła i czego szuka aktualnie.

Urodziłaś się w Poznaniu, ale nie mieszkasz tu od kilkunastu lat. Jak wspominasz to miasto sprzed emigracji?

Z jednej strony bardzo dobrze, bo już wtedy było dużo cykli imprezowych z zagranicznymi DJami, a i ci lokalni mieli bardzo dobrą selekcję. Z drugiej strony, kulturowo i mentalnie niestety raczej średnio. Dużo było jeszcze naleciałości postkomunistycznych, ogólnie panowało raczej negatywne nastawienie do świata. Do tego dochodziła krytyka tych, którzy chcieli próbować czegoś nowego i dyskryminacja tych, którzy się jakoś wyróżniali. No i brak perspektyw, ceny sprzętu były wtedy bardzo wysokie, a zarobki (tym bardziej DJskie) bardzo niskie. Na szczęście wiele się zmieniło od tamtego czasu.

Ostatnio często wspominamy początki sceny klubowej w Poznaniu. Jak wyglądał Twój start? Gdzie zaczynałaś?

Moje pierwsze kroki stawiałam w starej Post Dali na house'owych imprezach, gdzie grali m.in. Busha, Haze czy chłopaki z Das Erste. Chodziłam też do Eskulapu na bardziej eksperymentalne imprezy czy koncerty, gdzie można było usłyszeć więcej techno. Moje pierwsze kroki DJskie stawiałam w Esencji (dawnym chill-outcie SQ) i Meskalinie.



STEEL

fresh
nurt~

25.09 SUMMER CLOSING

START: 16.00/FREE ENTRY

JOANA

ROBERT BŁASZCZYK

GRAŻYNA BIEDROŃ

SASSAFARAS TREE

KRZONE

MUHA

nowy wymiar
orzeźwienia.



fritz-kola[®]
dużo dużo kofeiny

Czy decydując się na mieszkanie w Londynie, a potem Amsterdamie, kierowałaś się aspektami muzycznymi? Pomógł Ci ten wyjazd w dalszym rozwoju?

W tamtych czasach wyjazd do UK był dla mnie jedyną nadzieją na rozwój w jakiegokolwiek dziedzinie artystycznej. Polska scena była po prostu bardzo słabo rozwinięta. Dla mnie wyjazd był wtedy przede wszystkim ucieczką od zaściankowego życia i trybu myślenia. Oprócz muzyki tworzyłam też filmy krótkometrażowe, potem poszłam w web design, próbowałam różnych rzeczy.

W Amsterdamie zaczęłam uczyć się produkcji muzyki na SAE i był to wtedy dość ważny krok w moim rozwoju muzycznym.

Dzisiaj mieszkasz w Berlinie. Za co najbardziej cenisz sobie to miasto?

Kiedy się tam przeprowadziłam, mając 24-25 lat, było to dla mnie idealne miasto. Czulałam się po prostu wolna, nie tylko pod względem kreatywnym, ale też kulturowym. Jest tu duża tolerancja, aktywizm, scena artystyczna jest bardzo rozwinięta, ludzie myślą ekologicznie i empatycznie. Masz uczucie, że

rzządzający raczej szanują obywateli i odwrotnie. Artysty nie są traktowani jako hobbyści, tylko niezbędna część systemu. Wiele wytwórni muzycznych ma tu swoje siedziby i łatwiej poznać kogoś z branży muzycznej.

Są też minusy, miasto jest coraz droższe, czynsze i koszty mieszkań poszły ostatnio diametralnie w górę. Dużo ludzi żyje tu nie myśląc w ogóle o przyszłości, imprezując od czwartku do poniedziałku, uważając to za życiowe osiągnięcie. To miasto przyciąga zagubionych ludzi. Brak stałych związków i relacji to tutaj norma. Jest też ciągła rotacja, bo dużo ludzi przyjeżdża tylko na określony czas. Część przyjeżdża rozpocząć karierę muzyczną, która często przechodzi na drugi plan lub kompletnie się kończy, gdy oddają się wirowi imprez.

Czasem mówi się, że Poznań to taki mały Berlin. Mimo że nam jeszcze dużo brakuje, to znajdujesz jakieś podobieństwa odwiedzając rodzinne miasto?

Ostatnio ciągle słyszę, że jakieś miasto to mały Berlin, haha. We Wrocławiu mówili to samo, w Valencii też jest dzielnica jak mały Ber-

lin, w Tel Avivie również. Berlin kojarzy się z techno i imprezami, ale też ze świadomym trybem życia, aktywizmem, dietą wegańską, zrównoważonym podejściem do konsumpcjonizmu, recyclingiem materiałów i autentyczną sztuką bez lukru. Widzę te podobieństwa w wielu miejscach w Poznaniu, na pewno jest u nas dużo inspiracji Berlinem. Ważne jednak, aby zachować lub dodać przy tym też coś swojego, a nie tylko kopiować 1 do 1.

Twój najnowszy album to zwrot w stronę lżejszych brzmień, inspiracji indie elektroniką i RnB, ale utrzymane w klubowym klimacie. Wcześniej słyszeliśmy Cię w trochę mroczniejszych, mocniejszych klimatach.

Jest wiele gatunków, które są mi bliskie. Nie chcę się szufladkować, lecz cały czas rozwijać jako artysta. Mimo wszystko myślę, że większość moich utworów jest raczej melodyjna i pozytywna niż mroczna. Słyszę często od innych, że moje utwory brzmią jak „ja”, więc chyba znalazłam swój styl w tym kolażu innych stylów. W albumach jest fajne to, że można mieć więcej wolności i pokazać swój dźwięk

w innych formach. Jednak widzę, że w dzisiejszych czasach trudno jest zająć przeciętnego słuchacza dłuższym materiałem. Dlatego mój album jest kolekcją utworów, ale w krótszych, albumowych wersjach.

Nawiazując do tytułu albumu „Let Go”. Gdzie Cię poniesie w najbliższym czasie? Jakie masz plany po wydaniu płyty?

Póki co, jestem jeszcze w fazie autorefleksji. Nie planuję na razie wracać do grania cotygodniowych imprez. Zagrałam latem parę fajnych imprez w Polsce i właśnie podpisałam kontrakt z nową agencją, ale chcę grać tyle, by dalej sprawiało mi to przyjemność, a nie byle tylko było dużo. Wszystko w równowadze z samą sobą. Dla mnie czas w studio jest równie ważny jak granie na żywo. Próbuje też pracować nad moim live actem, może jest to kolejny etap mojego rozwoju kreatywnego. Dołączyłam do programu Sebastian Mueallerta — Circle of Live, żeby zobaczyć czy to coś dla mnie. Oprócz tego wyprowadzam się wkrótce do Walencji w Hiszpanii, gdzie zaczynam pracę na Berklee College of Music i będę pomagać studentom w rozwoju ich kariery. Życie w ciepłym kraju i mieście z plażą zawsze było moim marzeniem, więc bardzo się cieszę na te zmiany.

W dzisiejszych czasach trudno jest zająć przeciętnego słuchacza dłuższym materiałem